

**tytuł: "Strzelanina U Cyrana"**  
**autor: Raymont Chandler**  
**Przeł. Krzysztof Adamski**

**Warszawa 1990**  
**Pisał R. Duń**  
**Korekty dokonały**  
**K. Kruk**  
**i K. Markiewicz**

**\* \* \***

**I**

**Ted Malvern lubił deszcz. Lubiał szum i dotknięcie spadających kropel. Lubiał jego zapach. Wysiadłszy ze swojego lasalle coup~e, przez chwilę stał przy bocznym wejściu do hotelu Carondelet. Ręce wcisnął w kieszenie niebieskiego zamszowego płaszcza, podniesiony kołnierz łaskotał go w uszy. Z ust zwisał rozmiękły papieros. Wszedł do środka, mijając salon fryzjerski, drugstore i sklep z kosmetykami, którego witrynę zdobiły delikatnie podświetlone rzędy buteleczek. Prezentowały się niczym zespół teatralny w finale musicalu na Broadwayu. Minął kolumnę z poprzecinanego złotymi żyłkami marmuru i wsiadł do windy z wyściełaną podłogą.**  
**- Cześć, Albert. Wspaniały deszcz. Na dziewiąte. Szczupły, wyglądający na zmęczonego chłopak,**

w srebrno-niebieskiej liberii dłonią w białej rękawiczce przytrzymał zamykające się drzwi.

- Rany, panie Malvern. Myśli pan, że nie wiem, na którym piętrze pan mieszka? Nawet nie patrząc na tablicę z przyciskami, posłał windę na dziewiąte. Gdy stanęła, nagle zamknął oczy i oparł się o ścianę. Malvern właśnie wychodził, ale zatrzymał się i uważnym spojrzeniem bystrych piwnych oczu zmierzył chłopca.

- Co się stało, Albert? Jesteś chory? Chłopak z wysiłkiem przywoływał na twarz blady uśmiech.

- Jeżdżę już drugą zmianę z rzędu. Zastępuję Corky'ego. Jest chory. Dostał czyraków. Chyba trochę za mało zjadłem. Wysoki mężczyzna o piwnych oczach wyłowił z kieszeni zmięty banknot pięciodolarowy i podsunął go chłopcu pod nos. Windziarz wybałuszył oczy i gwałtownie się wyprostował.

- Rany, panie Malvern. Nie chciałem...

- Daj spokój, Albert. Cóż to jest piątka między kumplami? Kup sobie na mój rachunek jakieś ekstra żarcie. Wyszedł z windy. Ruszył korytarzem.

- Mięczak... - mruknął pod nosem. Mężczyzna, który wyskoczył zza rogu, omal nie zwałił go z nóg. Zachwiał się, wymijając ramię Malverna, i podbiegł do windy.

- Na dół! - rzucił ostro. Malvern dostrzegł mokry od deszczu kapelusz, a pod nim parę czarnych, bardzo blisko osadzonych oczu, które patrzyły w pewien, dobrze mu znany, dziwny

sposób. Oczy narkomana. Winda spadła w dół niczym bryła ołowiu. Malvern spoglądał przez długą chwilę tam, gdzie przed chwilą była, po czym poszedł w głąb korytarza i skręcił za róg. Na progu otwartych drzwi do apartamentu 914 zobaczył dziewczynę. Leżała na boku, w połyskliwej stalowoszarej piżamie, tuląc policzek do puszystego chodnika na korytarzu. Miała bujne, lśniące włosy koloru pszenicy, precyzyjnie ułożone w fale. Każdy włos na swoim miejscu. Była młoda, bardzo ładna i wyglądało na to, że żyje. Malvern przykucnął i dotknął jej policzka. Był ciepły. Delikatnie odgarnął dziewczynie włosy i zobaczył siniaka. - Uśpiona - mruknął przez zaciśnięte zęby. Wziął dziewczynę na ręce, przeniósł przez krótki przedpokój do salonu w apartamencie i ułożył na obitej welurem kanapie, obok gazowego kominka. Leżała bez ruchu. Miała zamknięte oczy, a twarz mimo makijażu siną. Zamknął drzwi na korytarz i obejrzał apartament. Potem wrócił do przedpokoju. Z podłogi, tuż przy boazerii, podniósł błyszczący przedmiot: siedmiostrzałowy pistolet z kościaną rękojeścią, kaliber 22. Powąchał go, schował do kieszeni i poszedł do dziewczyny. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął wielką srebrną piersiówkę, zdjął nakrętkę, rozchylił usta dziewczyny i wylał whisky na małe, białe zęby. Zakrztusiła się i poderwała spoczywającą na jego dłoni głowę. Otworzyła oczy, chabrowe z

lekką domieszką purpury, i spojrzała czujnie. Malvern zapalił papierosa. Stał i obserwował ją. Poruszyła się.

- Smakuje mi twoja whisky - wyszeptała po chwili. - Możesz jeszcze nalać? Nalał do szklanki przyniesionej z łazienki. Dziewczyna bardzo powoli usiadła, dotknęła głowy i jęknęła. Potem z dłoni Malverna wzięła szklankę i przechyliła ją ruchem świadczącym o pewnej rutynie.

- Wciąż mi smakuje - powiedziała. - Kim pan jest? Głos miała niski i miękki. Podobał mu się.

- Ted Malvern. Mieszkam w dziewięćset trzydzieści siedem, na tym samym korytarzu.

- Chyba... chyba zemdlalam.

- Mhm... Zostałaś ogłuszona, aniołku. Taksował ją uważnie, a w kąciku jego ust błąkał się uśmiech. Dziewczyna szerzej otworzyła oczy, które zaśniły jak pokryte warstewką ochronnej emalii.

- Widziałem tego oprycha - ciągnął. - Kokaina wysypywała mu się uszami. A to twoja broń. Wyjął z kieszeni pistolet i trzymał go w otwartej dłoni.

- Wychodzi na to, że będę musiała opowiedzieć jakąś bajeczkę - powoli powiedziała dziewczyna.

- Mnie nie musisz. Jeżeli wpakowałaś się w kabałę, może mógłbym ci pomóc. To zależy.

- Od czego? W jej głosie pojawiły się zimne, ostrzejsze tony.

- Od tego, co to za afera - cicho odparł Malvern. Wyciągnął magazynek z małego pistoletu i

**obejrzał nabój. - Pociski w miedziano-niklowych płaszczach, co? Wiesz, czym strzelać, aniołku.**

**- Musisz mnie nazywać aniołkiem?**

**- Nie wiem, jak masz na imię. Uśmiechnął się, podszedł do biurka przy oknach i położył broń na blacie, obok dwóch fotografii w skórzanej ramce. Zrazu rzucił na nie okiem bez zainteresowania, lecz po chwili popatrzył uważniej. Na zdjęciach zobaczył przystojną brunetkę i chudego blondyna o zimnym spojrzeniu, w sztywnym, wysokim kołnierzyku. Wielki węzeł krawata i wąskie klapy marynarki wskazywały na to, że zdjęcie wykonano w czasach bardzo odległych. Malvern przyjrzał się mężczyźnie.**

**- Jestem Jean Adrian. Tańczę w lokalu "U Cyrana" - powiedziała za jego plecami dziewczyna. Malvern wciąż wpatrywał się w zdjęcie.**

**- Benny Cyrano jest moim kumplem - wyznał z roztargnieniem. - To twoi rodzice? Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę. Powoli podniosła głowę. W jej chabrowych oczach błysnęło coś, co przypominało strach.**

**- Tak. Od dawna nie żyją - odparła głucho. - Są jeszcze pytania? Malvern szybko podszedł do kanapy i stanął przed dziewczyną.**

**- Okay - powiedział pojednawczo. - Jestem wścibski. I co z tego? To moje miasto. Rządził nim mój ojciec. Stary Marcus Malvern, "przyjaciół ludzi". Hotel też jest mój. Mam w**

**nim swój udział. Ten naćpany wyglądał mi na mordercę. Co w tym dziwnego, że chcę ci pomóc? Blondynka leniwie zmierzyła go spojrzeniem.**

**- Wciąż mam ochotę na twoją whisky. Czy mogę...**

**- Chwyć ją za szyjkę. Szybciej w siebie wlejesz - mruknął. Dziewczyna pobladła i zerwała się z kanapy.**

**- Mówisz do mnie jak do oszustki - zachnęła się.**

**- No to posłuchaj, jeśli już musisz wiedzieć. Mój chłopak otrzymywał ostatnio pogróżki. Jest bokserem i ktoś chce, żeby poddał walkę. Teraz próbują go dorwać przeze mnie. Zadowolony? Malvern wziął z krzesła kapelusz, wyjął z ust papierosa i zgasił go w popielniczce.**

**- Bardzo panią przepraszam - powiedział zmienionym głosem, skinął głową i ruszył w stronę drzwi. Chichot kobiety dobiegł go w pół drogi.**

**- Masz paskudny charakterek. I zapomniałeś swojej piersiówki. Malvern wrócił do kanapy i sięgnął po butelkę. Potem nagle pochylił się, ujął dziewczynę za podbródek i pocałował w usta.**

**- Do diabła z tobą, aniołku. Lubię cię - powiedział miękko. I wyszedł na korytarz. Dziewczyna przesunęła palcem po wargach, a na jej twarzy pojawił się uśmiech zawstydzenia.**

**\* \* \***

## II

**Tony Acosta, szef chłopców hotelowych, był szczupłym, delikatnym jak dziewczyna brunetem, o wysmukłych dłoniach, aksamitnych oczach i twardych, małych ustach.**

**- Udało mi się załatwić tylko siódmy rząd, panie Malvern. Ten Deacon Werra nie jest zły, a Duke Targo to przyszły mistrz w półciężkiej - powiedział, stając w progu.**

**- Wejdz i zrób sobie drinka, Tony - zaprosił go Malvern. Podszedł do okna i przez chwilę wpatrywał się w deszcz. - Będzie mistrzem, jeżeli kupią mu tytuł**

**- rzucił przez ramię.**

**- Należę sobie malutkiego, panie Malvern. Smagły chłopak starannie przyrządzał sobie koktajl. Wziął butelkę z tacy leżącej na barku - podrabianym sheratonie - obejrzał ją pod światło, precyzyjnie odmierzył składniki, długą łyżką wrzucił kostkę lodu, spróbował i uśmiechnął się, pokazując drobne białe zęby.**

**- Targo to kawał chłopca, panie Malvern. Jest szybki, sprytny, ma cios z obu rąk, ikry od cholery i nie cofnie się ani na krok.**

**- Musi się wykazać przed kanciarzami, którzy go karmią - wycedził Malvern.**

**- W takim razie nie karmili go jeszcze niedźwiedzim mięsem - odparł Tony. Krople deszczu bębniły w szybę, rozpryskiwały się na niej i małymi falami spływały w dół.**

**- To łobuz. Dobrze wygląda, ma ładne ubranka, ale to jednak łobuz - powiedział Malvern.**

**- Chciałbym pójść na tę walkę**

**- westchnął Tony. - Dziś w nocy nie pracuję.**

**Malvern odwrócił się powoli, podszedł do barku i przyrzucił sobie koktajl. Na jego policzkach pojawiły się cienie.**

**- A więc o to chodzi. Co ci w tym przeszkadza? - zapytał zmęczonym głosem.**

**- Boli mnie głowa.**

**- Znów nie masz grosza przy duszy - niemal warknął Malvern. Smagły chłopak nic nie powiedział. Spojrzenie spod długich rzęs uciekło w bok. Malvern zacisnął lewą dłoń, a po chwili ją rozprostował. Oczy miał poważne.**

**- Wystarczy poprosić Teda - westchnął. -**

**Starego, dobrego Teda. Forsa wysypuje mu się z kieszeni. Taki miękki gość. Wystarczy poprosić Teda. Okay, Tony, weź bilet i dokup drugi.**

**Sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot. Smagły chłopak wyglądał na urażonego.**

**- Rany, panie Malvern. Nie przypuszczałem, że pan pomyśli...**

**- Daj spokój! Co znaczy bilet na walkę między kumplami? Bierz oba i zaproś swoją dziewczynę. Do diabła z tym Targo. Tony Acosta wziął bilety. Przez chwilę uważnie przyglądał się Malvernowi.**

**- Wolałbym pójść z panem, panie Malvern - powiedział bardzo miękko. - Targo jest dobry nie tylko na ringu. Kręci z wystrzałową**



**blondynką, która mieszka akurat na tym piętrze. Panna Adrian - numer dziewięćset czternaście. Malvern zeszywniał. Ostrożnie postawił szklanke na barku.**

**- To i tak tylko łobuz, Tony.**

**- Głos miał lekko zachrypnięty.**

**- Spotkamy się przed twoim hotelem o siódmej. Zabiorę cię na kolację.**

**- Rany, panie Malvern! To świetnie! Tony Acosta miękkim krokiem wyszedł z pokoju i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Malvern stał przy biurku, lekko bębniąc opuszkami palców w blat. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w podłogę.**

**- Ted Malvern, pierwszy naiwniak Ameryki - powiedział gorzko na głos. - Gość, który bawi się w niańczenie dziwek. Taak. Wypił koktajl, spojrzął na zegarek, włożył kapelusz, potem niebieski zamszowy płaszcz i wyszedł. Koło numeru 914 przystanął, podniósł rękę, żeby zapukać, ale po chwili opuścił ją, nie dotykając drzwi. Zjechał windą na dół, wydostał się na ulicę i wsiadł do samochodu. Redakcja "Tribune" mieściła się na rogu Fourth Avenue i Spring Street. Malvern zaparkował samochód za skrzyżowaniem, wszedł wejściem służbowym do środka i wjechał na piąte piętro rozklekotaną windą, którą obsługiwał staruszek z niedopałkiem cygara w ustach i trzymanym sześć cali od twarzy złożonym na pół pismem. "Dział miejski" - obwieszczał napis nad**

wielkimi, podwójnymi drzwiami. Obok nich za małym biureczkiem z interkomem siedział kolejny staruszek. Malvern stuknął w blat.

- Do Adamsa. Jestem Ted Malvern. Staruszek rzucił kilka słów do skrzyneczki interkomu, zwolnił przycisk i ruchem podbródka wskazał drogę. Malvern wszedł do środka. Minął stół redakcyjny w kształcie podkowy i rząd stolików z hałaśliwymi maszynami do pisania. W końcu sali ujrzał zbijającego bąki szczupłego, wysokiego rudzielca, z nogami na wyciągniętej do połowy szufladzie, karkiem wystającym zza oparcia ryzykownie przechylnego obrotowego krzesła i wielką fajką wycelowaną prosto w sufit. Malvern podszedł bliżej; mężczyzna zerknął na niego, nie zmieniając pozycji.

- Cześć Teddy. Co słyhać w świecie beztroskich bogaczy? - zapytał, nie wyjmując fajki z ust.

- A co słyhać w twoim archiwum wycinków? Chodzi mi o faceta nazwiskiem Courtway. O senatora stanowego Johna Myersona Courtwaya - jeśli chodzi o ścisłość. Nogi Adamsa spoczęły na podłodze. Ich właściciel, przyciągnąwszy się do pulpitu biurka, przeszedł do pozycji pionowej, fajkę doprowadził do położenia horyzontalnego, wyjął ją z ust i splunął do kosza na śmieci.

- Ten stary sople lodu? A cóż może cię w nim interesować? Chodź, staruszkule. Przeszli obok rzędu biurek. Przy jednym z nich pisała na maszynie i śmiała się z własnej pisaniny tłusta

**dziewczyna z rozmazanym makijażem. Weszli do pokoju z regałami, które do wysokości sześciu stóp wypełniały teczki. Między półkami tłoczyły się małe stoliki i krzesła. Adams przez chwilę szperał w aktach, wyjął jakąś teczkę i położył na stoliku.**

**- Klapnij tutaj. Co to za szwindel? Malvern oparł się łokciami o stół i zaczął przeglądać gruby plik wycinków prasowych. Nic ciekawego, kilka wzmianek ze świata polityki - ani jednej z pierwszej strony. Senator Courtway powiedział to i to, w związku z taką a taką sprawą publiczną, spotkał się z tym i tamtym, przyjechał tu i tam. Wszystko wyglądało dość nudno. Na kilku fotografiach prasowych ujrzał szczupłego, siwowłosego mężczyznę o nieruchomej, opanowanej twarzy i głęboko osadzonych, ciemnych oczach, zupełnie pozbawionych blasku i ciepła.**

**- Dałbyś mi jego zdjęcie? Jakąś dobrą odbitkę. Adams westchnął, przeciągnął się i zniknął za rzędami półek. Wrócił po chwili z błyszczącą czarno-białą fotką, którą rzucił na stół.**

**- Możesz ją zabrać - oznajmił.**

**- Mamy tego na kopy. Facet jest nieśmiertelny. Załatwić ci zdjęcie z autografem? Malvern zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się fotografii.**

**- W porządku - powiedział powoli. - Czy Courtway był kiedyś żonaty?**

**- Od kiedy wyrosłem z pieluszek, na pewno nie - mruknął Adams. - Prawdopodobnie nigdy nie**

**był. No, puść farbę. Co to za cholernie tajemnicza sprawa? Malvern uśmiechnął się, wyjął zza pazuchy piersiówkę i postawił na stoliku, obok teczki z wycinkami. Twarz Adamsa pojaśniała, a jego długa ręka sięgnęła ku butelce.**

**- W takim razie nie miał dziecka - ciągnął Malvern. Adams zerknął chytrze spoza flaszki.**

**- No cóż, w gazetach o tym nie pisali. Z tego, co mi wiadomo o tym głupku, nie ma potomstwa. Wypił solidny łyk, otarł usta i ponownie przechylił piersiówkę.**

**- To bardzo zabawne - zauważył Malvern. - Gólnij sobie jeszcze potrójnego i zapomnij, że mnie kiedykolwiek widziałeś.**

**\* \* \***

### III

**Grubas nachylił twarz do Malverna.**

**- Sąsiedzie, myślisz, że walka jest ustawiona? - wysapał.**

**- Tak. Dla Werry.**

**- Na ile jesteś o tym przekonany?**

**- A ile stawiasz?**

**- Mam do rozmnożenia pięć setek.**

**- Stoi - beznamiętnie powiedział Malvern. Cały czas przyglądał się pszenicznowłosej głowie w rzędzie przy samym ringu. Oprócz falującej fryzury dostrzegwał białą etolę i futro tego samego koloru. Nie widział twarzy dziewczyny. Nie było mu to potrzebne. Tłuszcioch wyciągnął z kieszeni kamizelki nabity portfel. Trzymając go na kolanach, odliczył dziesięć banknotów pięćdziesięciodolarowych i zwinął je w rulon.**

**- Zakład stoi, dzieciно - wysapał, chowając portfel. - Pokaż swój szmal. Malvern oderwał wzrok od dziewczyny i wyjął płaski plik nowych setek, jeszcze w banderoli. Odliczył pięć i podał sąsiadowi.**

**- Chłopie, ładnie to wygląda - stwierdził grubas. Znów zbliżył twarz do Malverna. - Jestem Skeets O'Neal. Nie boisz się, że zwieję? Malvern z leniwym uśmiechem wepchnął pieniądze w rękę grubasa.**

**- Trzymaj, Skeets. Jestem Ted Malvern, syn starego Marcusa Malverna. Strzelam szybciej, niż ty biegasz. I zawsze mam kupę czasu, żeby**

ugadać sprawę. Grubas odetchnął głęboko i poprawił się na krześle. Tony Acosta, rzuciwszy tkliwe spojrzenie zwiłkowi banknotów wystających z zaciśniętych kluski-paluchów, oblizął wargi i niepewnie uśmiechnął się do Malverna.

- Jejku! To stracona forsa, panie Malvern - wyszeptał. - Chyba... chyba, że pan dostał jakiś cynk.

- Wystarczająco dobry na zakład o pięć setek - mruknął Malvern. Brzęczyk ogłosił początek szóstej rundy. Pierwszych pięć było wyrównanych. Duke'owi Targo, wielkiemu blondynowi, nie bardzo chciało się walczyć. Deacon Werra, silny nie skoordynowany Polaczek z zepsutymi zębami i kalafiorowatymi uszami, ze sztuki boksu opanował tylko brutalne klinczowanie i potężny sfing, wyprowadzany z piwnicy i zawsze chybiony. To na razie wystarczało, by trzymać Targo na dystans. Blondyn zdążył już zebrać niezłą porcję docinków od publiki. Sekundant Targo zabrał stołek z ringu. Bokser poprawił srebrno-czarne spodenki i posłał dziewczynie w białym futrze pełen napięcia uśmiezek. Wyglądało na to, że jest w dobrej formie. Rozbity nos Werry zostawił na jego lewym ramieniu smugę krwi. Zabrział gong. Werra przeleciał przez ring, prześlizgnął się pod ręką przeciwnika i trafił lewym hakiem. Cios nie był na tyle silny, żeby rzucić Targo na liny, ale jednak rzucił. Blondyn

odbił się od lin i sklinczował. Malvern uśmiechnął się w ciemnościach. Sędzia rozdzielił walczących, Targo wyzwolił się ze zwarcia. Werra spróbował haka, ale nie trafił. Teraz urządzili sobie krótki sparring. Publika z galerii odpowiedziała kocią muzyką. Werra machnął swoim wyprowadzonym z wysokości kolan cepem. Targo wydawał się tylko na to czekać. Na jego twarzy ponownie pojawił się dziwnie napięty uśmiezek. Dziewczyna w białym futrze nagle wstała z miejsca. Cios Werry ledwo musnął szczękę Targo. Blondyn nieznacznie się zachwiał i wystrzelił prawą, która trafiła Werrę tuż nad okiem. Potem lewy hak wylądował na jego szczęce, a tuż za nim, niemal w tym samym miejscu, prawy sierp. Brunet osunął się na kolana, ręce oparł na deskach, a potem powoli padł na rękawice. Wyliczanie sędziego zagłuszały gwizdy i wrzaski z galerii. Grubas wstał z trudem i wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Jak ci się to podoba, kolego? Wciąż myślisz, że walka była ustawiona?

- Coś poszło nie tak - odparł Malvern beznamiętnie niczym policyjne radio.

- No to cześć, kolego. Wpadaj częściej.

Przeciskając się obok Malverna, grubas kopnął go w kostkę. Malvern siedział nieruchomo i spoglądał na pustoszejące trybuny. Bokserzy wraz ze swoją świtą zeszli już schodami przy ringu do podziemi. Dziewczyna w białym futrze zniknęła w tłumie. W miarę jak gasły reflektory,

hala sportowa przeistaczała się w obskurną stodołę. Tony Acosta, nerwowo wiercąc się w krześle, obserwował mężczyznę w pasiastym kombinezonie, który zaczął zbierać śmieci pomiędzy rzędami.

\* \* \*

Malvern gwałtownie wstał.  
- Pójdę pogadać z tym gnojkiem, Tony. Poczekaj na mnie w samochodzie. Ruszył rampą do hallu, przecisnął się między ostatnimi kibicami i znalazł szare drzwi z napisem: "Wstęp wzbroniony". Otworzył je, poszedł rampą w dół i po chwili natrafił na kolejne drzwi z takim samym napisem. Stał tu strażnik w rozpiętej, wypłowiałej bluzie khaki. W jednej ręce trzymał butelkę piwa, w drugiej hamburgera. Malvern mignął licencją detektywa i strażnik, nawet na nią nie spojrzawszy, odsunął się na bok. Zamykając za sobą drzwi, Malvern słyszał jeszcze jego czkawkę. Na czwartych z kolei drzwiach w korytarzu widniał przybity pinezkami kartonik z napisem: "Duke Targo". Malvern otworzył je i zanurzył się w szum wody płynącej z prysznicą, gdzieś poza zasięgiem wzroku. W ciasnym pokoiku, na brzegu zarzuconego ubraniami stołu do masażu, siedział mężczyzna w białym swetrze. Malvern rozpoznał w nim sekundanta Targo.  
- Gdzie jest Duke? - zapytał. Mężczyzna w



swetrze wskazał kciukiem tam, skąd dobiegał szum prysznic. Nagle do pokoju wpadł wysoki facet i chwiejąc się stanął tuż przed Malvernem. Jego kędzierzawe, rude włosy mocno już przyprószyła siwizna. W dłoni trzymał wielką szklankę z drinkiem. Był kompletnie pijany. Zmoczone włosy i przekrwione oczy dopełniały obrazu twarzy wykrzywianej przelotnymi uśmieszkami bez treści.

- Scramola Umpchay - wybełkotał. Malvern spokojnie zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i sięgnął do kieszeni kamizelki pod rozpiętym niebieskim płaszczem po papierośnicę. Nawet nie spojrzał na przybysza. Nagle dłoń kędzierzawego błyskawicznie zniknęła pod marynarką. W sekundę potem na tle jasnego garnituru błysnęła nie oksydowana, zmatowiała broń. Ze szklanki w lewej ręce ulało się kilka kropel alkoholu.

- Nic z tego! - warknął. Malvern bardzo powoli wyjął papierośnicę, pokazał ją kędzierzawemu, otworzył, wyjął papierosa i włożył go do ust. Niezbyt pewnie trzymany rewolwer podrygiwał tuż obok. Ręka ze szklanką tańczyła w takt szarpanego rytmu.

- Taaak. Chyba szukasz kłopotów - powiedział spokojnie Malvern. Człowiek w swetrze wstał ze stołu do masażu i spojrzał na rewolwer.

- My lubimy kłopoty - odparł kędzierzawy. -  
Obszukaj go - Mike.

- Nie podoba mi się to, Shenvair. Na miłość

**boską, uspokój się. Jesteś pijany jak bela.**

- Możesz mnie obszukać. Nie mam broni - powiedział Malvern.**
- Nic z tego - zaprotestował człowiek w swetrze. - Mnie w to nie mieszaj. Ten gość to goryl Duke'a.**
- Upiłem się jak cholera - zachichotał kędzierzawy.**
- Jesteś przyjacielem Duke'a?**
- zapytał sekundant.**
- Mam dla niego pewne informacje - odparł Malvern.**
- Jakie informacje? Malvern milczał.**
- W porządku - zrezygnowanym głosem powiedział mężczyzna w swetrze.**
- Wiesz, Mike? - zaczął gwałtownie kędzierzawy.**
- Myślę, że ten... chce zabrać mi robotę. Do diabła, tak? Wygląda mi na łobuza. Nie jesteś gliną, co? - szturchnął Malverna muszką rewolweru.**
- Nie - odparł Malvern - trzymaj gnata przy sobie. Kędzierzawy odwrócił lekko głowę i wykrzywił się do Mike'a.**
- Co o tym sądzisz? To glina. Założę się, że chce zająć moje miejsce. Pewne jak w banku.**
- Schowaj spluwę, głupcze - z niesmakiem powiedział Mike. Kędzierzawy jeszcze trochę odwrócił głowę.**
- Muszę ochraniać Duke'a, nie?**
- poskarżył się. Ręka z papierośnicą niemal niedbale odtrąciła rewolwer. Kędzierzawy odwrócił się gwałtownie. Chwyciwszy uzbrojoną**

dłoń, Malvern zrobił krok do przodu i wpakował mu pięść w brzuch. Kędzierzawy zakrztusił się i oblał alkoholem płaszcz Malverna. Szklanka roztrzaskała się na podłodze. Rewolwer wypadł mu z ręki i poleciał do kąta. Ruszył po niego mężczyzna w swetrze. Szum prysznicu ustał i zza zasłony wyszedł blond bokser, energicznie wycierając się ręcznikiem. Ujrawszy tę scenkę rodzajową, stanął jak wryty, z szeroko otwartymi ustami.

- Chłoptaś nie jest mi już potrzebny - powiedział Malvern. Odepchnął kędzierzawego i walnął go prawą w szczękę. Pijany, przeleciał zataczając się przez pokój, uderzył w ścianę i opadł na podłogę. Mężczyzna w swetrze chwycił rewolwer i stanął wyprostowany, uważnie przyglądając się Malvernowi, który czyścił płaszcz chustką do nosa. Targo zdążył już zamknąć swe kształtne usta. Powoli zaczął wycierać pierś ręcznikiem.

- Kim u diabła jesteś? - zapytał po chwili.

- Kiedyś byłem prywatnym detektywem. Nazywam się Malvern. Myślę, że potrzebujesz pomocy. Zacerwieniona po prysznicu twarz Targo pociemniała jeszcze bardziej.

- Dlaczego?

- Słyszałem, że miałeś sprzedać walkę. Myślę, że nawet próbowałeś, ale Werra jest zbyt wielkim patalachem. Nic nie mogłeś poradzić. A to znaczy, że wpakowałeś się w kabałę.

- Za takie teksty niektórzy łykali własne zęby - bardzo powoli powiedział Targo. W pokoju na

chwile zapadła cisza. Kędzierzawy, mrugając oczyma, usiadł na podłodze. Usiłował wstać, ale dał spokój.

- Benny Cyrano to mój przyjaciel. A ty jesteś jego bokserem, co? - kontynuował spokojnie Malvern. Mężczyzna w swetrze roześmiał się ochryple, wysunął bębenek, wytrząsnął naboje i upuścił rewolwer na podłogę. Wychodząc z pokoju, trzasnął drzwiami. Targo obejrzał się, a potem cedząc słowa, zapytał:

- Co takiego słyszałeś?

- Twoja przyjaciółka, Jean Adrian, mieszka w moim hotelu na tym samym piętrze co ja. Dziś po południu ogłuszył ją jakiś oprych. Byłem akurat w pobliżu i widziałem, jak uciekał... Pomagałem dziewczynie się zebrać, a ona co nieco mi opowiedziała. Targo włożył bieliznę i skarpetki. Z szafki wyjął czarną satynową koszulę.

- Nic mi o tym nie wspomniała.

- Przed walką nie mogła. Targo lekko kiwnął głową.

- Jeżeli Benny to twój kumpel, chyba jesteś w porządku. Grożono mi. Może to tylko kupa bzdur albo pomysł jakiegoś cwaniaczka ze Spring Street na trafienie kilku dolców. Walka była uczciwa. A teraz możesz zjeżdżać. Włożył obcisłe, czarne spodnie, czarną koszulę i biały krawat. Całości dopełniała biała marynarka z czesankowej wełny lamowana czarną plecionką. Z kieszonki kipiała czarno-biała chustka.

**Malvern przez moment gapił się na ubranie Targo, a potem zrobił kilka kroków w stronę drzwi i zerknął na siedzącego pod ścianą pijaka.**

- W porządku. W końcu masz obstawę. To był tylko taki pomysł. Przepraszam. Wyszedł na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi. Na ulicy wciąż padało. Skreślił za narożnik i znalazł się na wielkim, wysypanym żwirem parkingu. Zabłyśły światła reflektorów. W chrzęście mokrego żwiru podjechało jego coup~e. Za kierownicą siedział Tony Acosta. Malvern zajął miejsce pasażera.**
- Jedź do Cyrana. Napijemy się**
- zaproponował.**
- Rany, bomba! Dziś występuje tam panna Adrian. Wie pan, ta blondynka, o której mówiłem.**
- Wiem, widziałem się z Targo. Można go polubić, ale nie jego ubrania.**

**\* \* \***

## IV

**Gus Neishacker** wyglądał jak stukilowy model z żurnala. Model o bardzo rumianych policzkach i cienkich, podkreślonych ołówkiem wytwornych brwiach jak z chińskiej wazy. W klapę smokingu wpiął czerwony goździk. Wąchał go od czasu do czasu, obserwując rozsadzającego gościa szefa kelnerów. Na widok Malverna i Tony'ego Acosty, którzy stanęli w sklepionym wejściu, uśmiechnął się szeroko i podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

- Jak leci, Ted? Duży stół?

- Jesteśmy tylko we dwójkę. Poznaj pana Acostę. Tony, to jest Gus Neishacker - kierownik sali "U Cyrana". Neishacker uścisnął dłoń Tony'ego, nawet nie zaszczycił go spojrzeniem.

- Słuchaj, ostatnim razem byłeś u nas z...

- Wyjechała z miasta - przerwał Malvern. - Daj nam stolik w pobliżu parkietu, ale nie na skraju. Ze sobą nie tańczymy. Gus wyszarpnął menu spod pachy starszego kelnera i pokonawszy pięć wyłożonych karmazynowym dywanem stopni, poprowadził gości wzdłuż stolików okalających owalny parkiet. Usiedli. Malvern zamówił koktajle z żytniówką i kanapki z jajkiem na twardo, szynką i cebulą. Neishacker, przekazawszy zamówienie kelnerowi, przysiadł się do ich stolika. Wyjął ołówek i na wewnętrznej stronie kartonika firmowych zapalek zaczął rysować trójkąty.

- Widziałeś walkę? - zapytał niedbale.
- To była lipa? Gus Neishacker uśmiechnął się pobłaźliwie.
- Benny rozmawiał z Dukiem i uważa, że niegłupio kombinujesz. Nagle spojrzął na Tony'ego Acostę.
- On jest w porządku.
- Dobra. Zrób nam przysługę. Ukręć łeb całej sprawie. Benny lubi chłopaka i nie chce, żeby mu się coś stało. Gdyby uważał, że to coś więcej niż głupi dowcip łobuza z ulicznego totalizatora, dałby Duke'owi ochronę - prawdziwą ochronę. Benny nigdy nie obstawia tylko jednego boksera i dobiera ich cholernie starannie. Malvern zapalił papierosa i kątem ust wydmuchał dym.
- Nie mój interes - powiedział spokojnie - ale myślę, że to jakiś szwindel. Takie sprawy czuję na miłę. Gus Neishacker przyglądał mu się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Wstał i szybko odszedł, lawirując między stolikami. Tu i ówdzie nachylał się, by zamienić z gośćmi kilka słów i uśmiechów. Aksamitne oczy Tony'ego Acosty rozbłysły.
- Rany, panie Malvern! Myśli pan, że to brudna sprawa? Malvern w milczeniu skinął głową. Kelner przyniósł koktajle i kanapki. Orkiestra na podium, po drugiej stronie parkietu, zagrała tusz. Uśmiechnięty, gładki konferansjer wskoczył na scenę i przytknął usta do małego mikrofonu. Rozpoczął się występ. W świetle

**różnobarwnych reflektorów rząd półnagich tancerek falował na kształt sinusoidy. Błyszczały nogi. A pępki, niczym plamki ciemności, odbijały od nagich, białych brzuchów. Twarda rudowłosa dziewczyna zaśpiewała twardą piosenkę głosem, którym można by rąbać drzewo na podpałkę. Na scenę wróciły tancerki w czarnych pończochach i jedwabnych kapeluszach. Tym razem obnażyły inne partie ciała. Muzyka złagodniała i w bursztynowym świetle reflektora pojawił się wysoki amant, który głosem szlachetnym jak stara kość słoniowa zaśpiewał pieśń o kimś bardzo daleko, komu się nie powiodło. Malvern upił nieco koktajlu i w półmroku skubnął kanapkę. Napięta twarz Tony'ego zniknęła w ciemności. Amant opuścił scenę i nagle wszystko zgasło z wyjątkiem reflektorów oświetlających podium orkiestry i małych bursztynowych lampek nad wejściami do łóż. W ciemnościach rozległy się chichoty kobiet. Pod sufitem zabłysnął punktowiec, rozjaśniając przejście obok sceny. W jego blasku twarze gości przybrały barwę kredy. Tu i ówdzie żarzyły się ogniki papierosów. W krąg światła wkroczyło czterech wysokich Murzynów, niosąc na ramionach sarkofag z mumią. Szli powoli, rytmicznie. Mieli egipskie nakrycia głowy, przepaski z białej skóry na biodrach, a na nogach takiego samego koloru sznurowane do kolan sandały. Ich wysmukłe kończyny lśniły niczym czarny**



**marmur w poświęceniu księżycy. Dotarli na środek parkietu i ostrożnie ustawili sarkofag pionowo. Powoli opadła pokrywa, złapał ją jeden z Murzynów. Potem - jak ostatni liść z martwego drzewa - z wnętrza sarkofagu wypadła owinięta w białe bandażę mumia. Przez moment wydawało się, że zawisała w powietrzu, by za sekundę w hałasie werbli spłynąć w dół. Światła zgasty, a po chwili znów rozbłysły. Na podium wirowała wokół swej osi zabandażowana sylwetka. Jeden z Murzynów, obracając się w przeciwną stronę nawijał bandaż na siebie. Gdy skończył, białe, lśniące ciało dziewczyny wystrzeliło w górę, ku światłu reflektorów, i niczym piłka baseballowa zaczęło przechodzić z rąk do rąk trójki Murzynów. Łoskot bębnow przeszedł w walc. Dziewczyna zatańczyła. Powoli i zwiewnie prześlizgiwała się obok partnerów, czterech hebanowych kolumn. Występ był skończony. Oklaski zrywały się i opadały niczym fale. Zapadła ciemność. Kiedy światła znów rozbłysły, dziewczyna i czterej Murzyni zniknęli.**

**- Świetny numer - westchnął Tony Acosta. - Naprawdę świetny. To była panna Adrian, prawda?**

**- Taak. Nasz mały śmiałek - odpowiedział Malvern i zapalił papierosa. Rozejrzył się po lokalu. - Zaraz zobaczysz kolejny czarno-biały numer, Tony. Oto Duke Targo we własnej osobie. Targo, z twarzą wykrzywioną**

uśmiechem, stał przy wejściu do jednej z łóż i głośno klaskał. Wyglądało na to, że wypił już kilka drinków. Nagle czyjeś ramię otoczyło barki Malverna, a dłoń wpakowała się w popielniczkę na stole. Owionął go zapach szkockiej. Powoli odwrócił głowę. Zobaczył spoconą twarz Shenvaira, pijanego goryla Duke'a Targo.

- Czarnuchy i biała dziewczyna - wybełkotał Shenvair. - Wszawę. Co za nędza. Parszywa nędza. Malvern uśmiechnął się z lekka i nieznacznie przesunął krzesło. Tony Acosta zacisnął usta w cienką linię i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Shenvaira.

- To nie czarnuchy, tylko ucharakteryzowani biali, panie Shenvair. Mnie się podobało.

- Kogo u diabła obchodzi, co ci się podobało? - warknął Shenvair. Malvern, ciągle się uśmiechając, położył papierosa na brzegu talerza i jeszcze bardziej przesunął krzesło.

- Wciąż myślisz, że odbieram ci chleb, Shenvair?

- Wciąż. I wciąż należy ci się po ryju. - Wyjął dłoń z popielniczki, wytarł w obrus i zacisnął w pięść. - Chcesz, żeby wypłacić ci od razu? Kelner złapał go za ramię i próbował odciągnąć.

- Zgubił pan swój stolik, proszę pana? Wskażę panu drogę. Shenvair poklepał kelnera po ramieniu.

- Świetnie, wypijemy jeszcze po jednym. Nie podobają mi się ci faceci - dodał usiłując objąć go ramieniem. Odeszli, znikając między

**stolikami.**

**- Do diabła, z tą knajpą, Tony**

**- powiedział ponuro Malvern, wpatrując się w podium orkiestry. Nagle jego spojrzenie nabrało ostrości. Obok sceny pojawiła się dziewczyna o pszenicznych włosach, w białej sukni i białej futrzanej etoli. Weszła do łoży, przy której stał Duke Targo.**

**- Taak. Do diabła z tą knajpą**

**- powtórzył Malvern. - Zbieramy się. Nie - poczekaj chwilę. Widzę jeszcze jednego faceta, który mi się nie podoba - dodał cicho, z napięciem w głosie. Po drugiej stronie pustego w tej chwili parkietu, wzdłuż rzędu stolików, szedł mężczyzna. Brak kapelusza trochę zmieniał jego wygląd, ale twarz pozostała ta sama - płaska, blada, zimna facjata o blisko osadzonych oczach. Mężczyzna miał około trzydziestki i zaczynał łysieć na czubku głowy. Niewielkie wybrzuszenie marynarki pod lewym ramieniem było ledwo widoczne. To właśnie on uciekał z apartamentu Jean Adrian w hotelu Carondelet. Mężczyzna wszedł do łoży, w której przed chwilą zniknęła Jean Adrian.**

**- Poczekaj tu, Tony - rzucił Malvern.**

**Kopniakiem odepchnął krzesło i zerwał się na nogi. Ktoś lekko klepnął go w plecy. Gdy się odwrócił, tuż obok zobaczył wykrzywioną w grymasie, spoconą twarz Shenvaira.**

**- Wróciłem, kolego - zarechotał kędzierzawy i trzasnął Malverna w szczękę. To był krótki,**

nieźle jak na pijanego wyprowadzony cios. Malvern zatoczył się. Tony Acosta, warcząc jak kot, skoczył na równe nogi. Malvern nie zdołał jeszcze złapać równowagi, kiedy Shenvair zadał kolejny cios. Jednak ten był zbyt szeroki i za wolny. Malvern skrócił dystans i z całej siły uderzył Shenvaira w nos. Trysnęła krew. Ochlapała dłoń Malverna, który nie zdążył cofnąć ręki, ale już po chwili wróciła na twarz kędzierzawego. Shenvair wykonał obrót wokół własnej osi, przechylił się do tyłu i przyciskając rękę do nosa, ciężko klapnął na podłogę.

- Miej oko na tego ptaszka Tony - polecił Malvern. Shenvair szarpnął obrus przy sąsiednim stoliku. Na podłogę poleciały srebrne sztuce, porcelanowa zastawa, szkło. Rozległy się przekleństwa mężczyzn i piski kobiet. W stronę stolika biegł siny z wściekłości kelner. W całym tym zamieszaniu Malvern ledwo usłyszał dwa wystrzały. Oddane z małokalibrowej broni, jeden po drugim, były niegłośnie. Biegący kelner stanął jak wryty. Wokół jego ust pojawiła się biała bruzda, niczym ślad po smagnięciu biczem. Brunetka o spiczastym nosie otworzyła usta w niemym krzyku. To była jedna z tych chwil, kiedy wszyscy wstrzymują oddech i wydaje się, że cisza będzie trwać wiecznie. To był moment tuż po wystrzale. Malvern popędził w stronę łoży. Roztrącił gości wyciągających głowy ku łoży, do której wszedł blady mężczyzna. Miała wysokie ścianki i nieco niższe wahadłowe

drzwi. Nikt ich jeszcze nie otworzył, ludzie pochylali się tylko nad nimi, zaglądając do środka. Pokonawszy łagodne, wyściełane dywanem podejście, Malvern dotarł na miejsce. Zza drzwi wystawały podkurczone, rozrzucone nogi w ciemnych spodniach i czarnych butach z noskami skierowanymi w stronę łoża. Malvern strząsnął czyjaś rękę z ramienia i wszedł do środka. Na krawędzi stołu ujrzał mężczyzną twarzą i torsem przytulonego do białego obrusa. Lewa ręka wpadła pomiędzy stół i wyściełane krzesło; prawa niezbyt pewnie obejmowała kolbę leżącego na stole dużego, oksydowanego rewolweru, kaliber 45, z krótką lufą. Łysinka na czubku głowy i metal broni lekko połyskiwały. Wypływająca spod jego piersi krew tworzyła purpurową plamę na nasiąkającym niczym bibuła białym obrusie. W głębi łoża w marynarce z białej czesankowej wełny stał wyprostowany Duke Targo. Lewą dłoń zacisnął na krawędzi stołu. Obok siedziała Jean Adrian. Targo tępo wpatrywał się w Malverna, jakby widział go po raz pierwszy. Wyciągnął w jego stronę wielką otwartą dłoń, na której leżał mały pistolet z kolbą wyłożoną białą masą.

- Zastrzeliłem go - powiedział głucho. - Wyjął broń i chciał do nas strzelać. Wtedy go zabiłem. Jean Adrian wycierała dłonie chustką do nosa. Na jej zimnej, napiętej twarzy i w ciemnych oczach nie było widać strachu.

- Zastrzeliłem go - powtórzył Targo, rzucając na

**obrus pistolet, który odbił się od blatu i o mało nie uderzył w głowę bladego mężczyzny. - Chodźmy... Chodźmy stąd. Malvern położył dłoń na bezwładnej szyi mężczyzny i trzymał ją tak przez sekundę lub dwie.**

**- Nie żyje - oznajmił. - To dopiero nowina: porządny obywatel załatwił szajbusa.**

**Nieruchome spojrzenie Jean Adrian wpiło się w Malverna. Uśmiechnął się do niej, dotknął dłonią piersi Targo i popchnął go.**

**- Siadaj, Targo. Nigdzie nie pójdziesz.**

**- W porządku. Ale wiesz, ja go zastrzeliłem.**

**- Jasne. Uspokój się - powiedział Malvern. Tłum ludzi za jego plecami gęstniał i napierał.**

**Odpychał ich i cały czas uśmiechał się do poblądłej dziewczyny.**

**\* \* \***

## V

**Sylwetka Benny'ego Cyrana przypominała dwa jajka. Mniejsze**

**- głowa - sterczało na większym, które stanowiła reszta ciała. Drobne stopy w lakierkach ukrył pod ciemnym, matowym biurkiem. Lewą ręką nerwowo szarpał chustkę, której róg trzymał w zębach. Prawą wykonywał uspokajające gesty.**

**- Chwileczkę, chłopcy. Tylko bez nerwów - mitygował głosem stłumionym przez chustkę. Środek pasiastej sofy zajmował Duke Targo, a po obu jego stronach tkwili detektywi z komendy miasta. Gęste blond włosy opadały na posiniaczoną kość policzkową boksera. Czarna satynowa koszula wyglądała tak, jakby używano jej jako hamaka. Siwowłosy detektyw miał rozciętą wargę. Drugi - młody blondyn - podbite oko. Obaj wyglądali na wściekłych, ale blondyn bardziej. Na krześle pod ścianą siedział okrakiem Malvern i znudzonym wzrokiem wpatrywał się w Jean Adrian. Na wyłożonym skórą bujanym fotelu dziewczyna nerwowo miała chustkę. Oddawała się tej czynności od dawna, jakby zapomniała, co robi. Małe, stanowcze usta zacisnęła w grymasie gniewu. Gus Neishacker palił papierosa, opierając się o zamknięte drzwi.**

**- Tylko spokojnie, chłopcy - powtórzył Cyrano. - Gdybyście go tak nie przyciskali, na pewno by się nie rzucał. To dobry chłopak. Najlepszy,**

**jakiego mam. Dajcie mu spokój. Z kącika ust Targo spływała krew, zastygając na wydatnym podbródku w postaci połyskującej plamki.**

**Twarz miał pustą, bez wyrazu.**

**- Benny, chyba nie będziesz wymagał od tych chłopców, żeby przestali grać pałkami w bezika, co? - zimno zapytał Malvern.**

**- Masz jeszcze licencję prywatnego tajniaka, Malvern? - warknął blondyn.**

**- Gdzieś tu chyba leży.**

**- Kto wie, może ci ją zabierzemy? - takim samym tonem powiedział blondyn.**

**- Dla mnie, glino, możesz zatańczyć najwyżej w teatrzyku rewiiowym. Blondyn już się podnosił, ale starszy tajniak powstrzymał go.**

**- Daj spokój. Jeżeli podejdziesz bliżej niż na sześć stóp, to po nim. Gus Neishacker uśmiechnął się do Malverna. Cyrano wykonał kolejny bezradny gest. Dziewczyna obserwowała Malverna spod rzęs. Targo splunął krwią na niebieski dywan. Ktoś pchnął drzwi z zewnątrz i Neishacker odsunął się na bok, pozwalając im się nieco uchylić, a potem otworzyć na oścież. Do pokoju wszedł Mcchasey. Mcchasey był porucznikiem w dochodzeniówce. Wysoki, rudowłosy, o wyblakłym spojrzeniu i wąskiej, podejrzliwej twarzy, miał około czterdziestki. Zamknął za sobą drzwi, przekręcił klucz i powoli zbliżył się do Targo.**

**- Martwy jak cholera. Jeden pod sercem, jeden w sercu. Znałeś go?**



- Każdy dostanie, co mu się należy - mętnie odparł Targo.
- Zidentyfikowali go już? - wstając z sofy, zapytał siwowłosy policjant. Mcchasey skinął głową.
- Torchy Plant. Spluwa do wynajęcia. Nie widziałem go ze dwa lata. Kiedy się naćpa, jest twardy jak wrośnięty paznokieć. Gnojek i włóczykij.
- Tylko taki ćpun mógł wydać bankiet w knajpie
- powiedział siwowłosy.
- Masz pozwolenie na broń, Targo? - zapytał Mcchasey?
- Tak. Benny załatwił mi dwa tygodnie temu. Odebrałem kupę pogrózek.
- Niech pan posłucha, poruczniku - zatrajkotał Cyrano.
- Jacyś kanciarze chcieli go nastraszyć. Ostatnie dziewięć walk wygrał przed czasem. Zarobili by niezłą forszę na zakładach. Poradziłem mu, żeby odpuścił jedną walkę.
- Mało brakowało i tak bym zrobił - poważnie powiedział Targo.
- No i przysłali tego szajbusa
- dorzucił Cyrano.
- Może to i prawda. Ale jakim cudem byłeś od niego szybszy? Gdzie trzymałeś broń?
- W kieszeni na biodrze.
- Pokaż. Targo wsunął dłoń do kieszeni na prawym biodrze i wyszarpnął z niej chustkę. Wskazujący palec wycelował niczym lufę

pistoletu.

- Tę chustkę miałeś razem z bronią w kieszeni? - zapytał Mcchasey. Wielka, rumiana twarz Targo nieco spochmurniała. Skinął głową. Mcchasey pochylił się i wyjął płatek materiału z dłoni boksera. Powąchał go, rozwinął, znów powąchał, złożył i wsunął do swojej kieszeni. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Czy coś powiedział?

- Tylko: "Mam coś dla ciebie, śmieciu". I sięgnął po rewolwer. Ale gnat uwiązał mu w kaburze i ja byłem szybszy. Mcchasey uśmiechnął się lekko, odchylił do tyłu, zakołysał na obcasach i zmierzył Targo wzrokiem od stóp do głowy.

- Tak. Powiedziałbym, że to cholernie dobre strzały, jak na kaliber dwadzieścia dwa. A ty jesteś cholernie szybki jak na tak dużego faceta... Kto odbierał pogróżki?

- Ja. Przez telefon. Mcchasey sztywno przemierzył pokój i stanął przed wiszącym na ścianie plakatem sportowym. Odwrócił się i wolno podszedł do drzwi.

- Ten zabity gnojek niewiele dla mnie znaczy - powiedział cicho - ale od tego jest policja. Targo i dziewczyna pojedą z nami na komisariat, żeby złożyć zeznania. W drogę. I Mcchasey opuścił pokój. Dwaj detektywi podnieśli się z sofy i pociągnęli za sobą Duke'a Targo.

- Będiesz grzeczny? - szczechnął siwowłosy.

- Jeżeli pozwolisz mi umyć twarz - szyderczo odparł Targo. Wyszli z pokoju. Blondyn

**przepuścił Jean Adrian w drzwiach.**

**- A ty daj się wypchać! - warknął do Malverna.**

**- Lubię trociny. Mam w sobie coś z kornika, glino - miękko odparł Malvern. Gus Neishacker parsknął śmiechem, zamknął drzwi i ruszył do barku.**

**- Trzęsę się jak trzeci podbródek Benny'ego - powiedział. - Napijmy się brandy. Napelnił trzy koniakówki do jednej trzeciej wysokości i jedną zabrał ze sobą na pasiastą sofę. Wyciągnął na niej nogi, odchylił głowę i łyknął. Malvern wstał i jednym haustem opróżnił swoją. Wyjął papierosa i powoli obracając go w palcach, spod oka przyglądał się białej, gładkiej twarzy Cyrana.**

**- Ile według ciebie można było zarobić na wieczornej walce? - zapytał. - Chodzi mi o zakłady. Cyrano zamrugnął i pulchną dłonią dotknął ust.**

**- Kilka tysięcy. To była zwykła, cotygodniowa walka. Ale jaki to może mieć związek? Malvern włożył papierosa do ust, pochylił się nad biurkiem i zapalił zapalniczką o blat.**

**- Jeżeli ma, to morderstwo cholernie potaniało w tym mieście. Cyrano nie odpowiedział. Gus Neishacker wypił resztę brandy i ostrożnie postawił pusty kieliszek na korkowym blacie okrągłego stolika obok sofy. W milczeniu wpatrywał się w sufit. Chwilę później Malvern skinął głową obu mężczyznom, wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi i ruszył**

**korytarzem, mijając otwarte garderoby. Wszędzie było ciemno. Odsunął kotarę zasłaniającą sklepienie przejście i wydostał się na parkiet. Szef kelnerów stał w westybulu i przez przeszklone drzwi popatrywał na moknące w deszczu plecy mundurowego policjanta. W pustej szatni Malvern znalazł swój płaszcz i kapelusz, ubrał się i stanął obok kelnera.**

**- Nie wiesz przypadkiem, co się stało z chłopakiem, z którym siedziałem przy stoliku? Kelner potrząsnął głową i otworzył drzwi.**

**- Było tu czterysta osób... a ze trzy setki zwało, zanim zameldowała się policja. Przykro mi. Skinął mu głową i wyszedł w deszcz. Policjant obrzucił go niedbałym spojrzeniem. Malvern ruszył ulicą do miejsca, gdzie zostawił samochód. Nie było go. Rozejrzał się, przez moment stał na deszczu, a potem poszedł w stronę Mellrose. Po chwili złapał taksówkę.**

**\* \* \***

## VI

Podjazd prowadzący do garażu hotelu Carondelet opadał łukiem w zimny półmrok. Ciemne cielska zaparkowanych samochodów wyglądały złowieszczo na tle białych ścian, a samotne światło w budce strażnika miało w sobie coś z bezlitosnego blichtru domu pogrzebowego. Z budki, przecierając oczy, wyszedł wielki Murzyn, w poplamionym kombinezonie. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

- ...wieczór, panie Malvern. Cosik pan dziś nie możesz zasnąć.

- Nie mogę usiedzieć na miejscu, kiedy pada. Założę się, że nie ma tu mojej landary?

- Nie ma, panie Malvern. Odkurzałem wszystkie samochody i pańskiego nie widziałem.

- Pożyczyłem go kumpłowi - drewnianym głosem powiedział Malvern. - Pewnie się rozwalił. Pstryknął w powietrze półdolarówką i wrócił rampą na ulicę. Zaplecze Carondelet zamykały z jednej strony tylna ściana hotelu, a z drugiej, na wprost, dwa baraki i czteropiętrowy budynek z cegły, do którego wejście oświetlała mlecznobiała kula z napisem: "Hotel Blaine". Malvern przeskoczył trzy betonowe stopnie i nacisnął klamkę. Zamknięte. Przez szklaną tafłę drzwi zajrzał do małego, zakurzonego foyer. Z kieszeni wyjął dwa wytrychy: drugi odrobinę ruszył zamek. Mocno przyciągnął rozklekotane

drzwi i pomagając sobie pierwszym wytrychem, na tyle odsunął zatrask, że puściły. Wszedł do środka. W recepcji znalazł jedynie tabliczkę z napisem: "Kierownik" i dzwonek. Z tyłu wisiał prostokąt pustych, numerowanych skrytek na klucze. Malvern wyjął spod lady oprawiony w skórę rejestr gości hotelowych i przejrzawszy trzy strony, znalazł chłopięcy gryzmoł: "Tony Acosta" z dopisanym innym charakterem numerem pokoju. Odłożył książkę hotelową i rezygnując z automatycznej windy, ruszył na trzecie piętro. W korytarzu było bardzo cicho. Lampa pod sufitem ledwo rozpraszała mrok. Pod przedostatnimi drzwiami po lewej stronie Malvern zauważył smugę światła. To był pokój numer 411. Wyciągnął rękę, żeby zapukać, ale cofnął ją, nie dotykając drzwi. Klamka była uwalana czymś, co wyglądało na krew. Tuż przy drzwiach, na parkiecie, zobaczył całą kałużę. Czuł, jak potnieje mu dłoń. Zdjął rękawiczkę, zacisnął palce niczym szpony i powoli je rozluźnił. W jego oczach pojawił się ostry, pełen napięcia błysk. Wyjął z kieszeni chustkę, chwycił przez nią klamkę i powoli nacisnął. Drzwi nie były zamknięte. Wszedł do środka. Spojrzał w głąb pokoju.

- Tony... och, Tony - jęknął. Zamknął drzwi i znowu przez chustkę przekręcił klucz w zamku. Pokój oświetlał żyrandol w kształcie czaszy, zwisający z sufitu na trzech mosiężnych łańcuchach. W jego blasku Malvern zobaczył

zasłane łóżko, pastelowe meble, zielonkawy dywan i prostokątne biurko z eukaliptusowego drewna. Przy biurku, z głową na lewym ramieniu, siedział Tony Acosta. Między nóżkami krzesła i stopami chłopca połyskiwała rudawa kałuża. Malvern ruszył w jego stronę krokiem tak sztywnym, że już przy drugim zaboląły go kostki. Dotknął ramienia siedzącego.

- Tony - wyszeptał głuchym, bezbarwnym głosem. - Na Boga, Tony! Chłopak nie poruszył się. Malvern podszedł z drugiej strony. Zwarte uda Tony'ego przykrywał nasiąknięty krwią ręcznik kąpielowy. Prawa dłoń zacisnęła się na krawędzi blatu, tak jakby jej właściciel chciał podciągnąć się do góry. Tuż obok twarzy leżała pokryta gryzmołami koperta. Malvern przysunął ją i powoli podniósł, jakby to było coś bardzo ciężkiego. "Pojechałem za nim... włoskiej dzielnicy... 28 Court Street... nad garażem... trafił mnie... chyba sam też dostał... pański samochód..." I niewyraźny odcisk linii papilarnych kciuka. Pióro wyjechało poza kartkę i zostawiło na blacie kleksa. Leżało teraz na podłodze. Malvern pedantycznie złożył kopertę, starając się nie uszkodzić odcisku, i schował ją do portfela. Potem podniósł głowę Tony'ego i lekko obrócił ją twarzą ku sobie. Szyja była wciąż ciepła, dopiero zaczynała sztywnieć. Czarne, spokojne oczy Tony'ego zachowały aksamitny połysk. Jak wszystkie oczy przed chwilą zmarłych, wydawały się

wpatrywać w punkt tuż obok obserwatora. Malvern złożył głowę Tony'ego na wyciągniętym na blacie ramieniu. Rozluźnił się i lekko przechylił głowę, a jego oczy przybrały wyraz niemal senny. Po chwili jednak gwałtownie ją podniósł, a spojrzenie nabrało ostrości. Zdjął płaszcz i marynarkę, podwinął rękawy koszuli, zmoczył ręcznik w znajdującej się w rogu pokoju umywalce i podszedł do drzwi. Wytarł z obu stron klamkę, a potem pochylił się i zmył krew z parkietu na korytarzu. Wypłukał ręcznik, rozwiesił go na suszarce, dokładnie wytarł ręce i włożył ubranie. Wyszedł na korytarz, przekręcił klucz w zamku, wytarł go chustką i wrzucił do środka przez szparę pod drzwiami. Usłyszał jego brzęk, gdy klucz padał na podłogę. Wrócił na dół i wyszedł z Hotelu Blaine. Wciąż padało. Na ulicy za rogiem zobaczył swój samochód. Stał kilka metrów od skrzyżowania, starannie zaparkowany, z wyłączonymi światłami i kluczami w stacyjce. Wyjął je i dotknął siedzenia kierowcy. Było mokre i kleiło się. Wytarł rękę, podniósł szybę, zamknął samochód i zostawił go tam, gdzie stał. W drodze powrotnej do hotelu Carondelet nie spotkał nikogo. Ostry, zacinający deszcz wciąż siekł opustoszałe ulice.

\* \* \*



## VII

Spod drzwi pokoju 914 padała cienka smuga światła. Malvern lekko zapukał i rozejrzał się po korytarzu. Powoli przebierał palcami w rękawiczce i czekał. Długo czekał.

- Tak? Kto tam? - zapytał w końcu znużony głos.

- Ted Malvern, aniołku. Muszę się z tobą zobaczyć. Mam interes. Szczęknął zamek i drzwi się otworzyły. W progu stała dziewczyna. Twarz miała zmęczoną i bladą, oczy już nie chabrowo-fiołkowe, lecz raczej koloru miki, a pod nimi cienie przypominające smugi rozmazanego tuszu. Jej mała, silna dłoń zacisnęła się na krawędzi drzwi.

- To ty... tak myślałam, że to musisz być ty - powiedziała zmęczonym głosem. - Kąpałam się. Cuchnę komisariatem.

- Za piętnaście minut? - lekkim tonem zapytał Malvern, ale jego spojrzenie nie straciło nic ze swej ostrości. Wzruszyła leniwie ramionami i skinęła głową. Drzwi zatrzasnęły się tak szybko, jakby chciały go zaatakować. Malvern wrócił do własnego apartamentu, zrzucił płaszcz i kapelusz, nalał sobie whisky i wszedł do łazienki. Z kranu nad umywalką dolał zimnej wody. Pił powoli, spoglądając w ciemność nad bulwarem. Od czasu do czasu przejeżdżał samochód - dwa promienie białego światła wytryskujące z nicości. Skończył drinka, rozebrał się i wszedł

**pod prysznic. Potem włożył świeże ubranie, uzupełnił swoją wielką piersiówkę i umieścił ją w wewnętrznej kieszeni marynarki. Z walizki wyjął pistolet i przyglądał mu się przez moment, ważąc w dłoni. Po chwili schował go do walizki i zapalił papierosa. Wcisnął na głowę inny kapelusz, włożył sztruksową marynarkę i wyszedł. Drzwi do pokoju 914 wyglądały podejrzanie. Były uchylone. Lekko zapukał, wślizgnął się do środka, zamknął je, dotarł do salonu i zobaczył Jean Adrian. Siedziała na kanapie. Musiała dopiero co wyjść z kąpeli. Miała na sobie gładką piżamę koloru śliwki i chiński szlafrok. Kosmyk mokrych włosów opadł jej na skroń. Drobne, regularne rysy wyrazistością przypominały kameę. Taką wyrazistość bardzo młodym ludziom nadaje zmęczenie.**

**- Napijesz się czegoś? - zapytał Malvern.**

**- Chyba tak. Malvern wyjął z barku szklanki, nalał whisky, uzupełnił zimną wodą i trzymając je w ręce, podszedł do kanapy.**

**- Wciąż męczą Targo? Ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Wpatrywała się w swoją szklankę.**

**- Znow pokazal, co potrafi. Rozbił o ścianę dwóch policjantów. Cały komisariat jest w nim zakochany.**

**- Musi się jeszcze sporo nauczyć o policjantach. Rano będą w niego wycelowane wszystkie aparaty fotograficzne. Już widzę te nagłówki:**

**"Znany bokser zbyt szybki dla zawodowca",  
"Duke Targo załatwił gangstera". Dziewczyna  
łyknęła odrobinę whisky.**

**- Jestem zmęczona - powiedziała. - I bolą mnie  
stopy. Powiedz lepiej, jaki masz interes.**

**- Jasne. Otworzył papierośnicę i poczęstował  
dziewczynę.**

**- Jak już zapalisz - zaczął - powiesz mi, dlaczego  
go zastrzełaś. Jean Adrian włożyła papierosa  
między wargi, pochyliła twarz nad zapaloną  
zapalką, zaciągnęła się i odrzuciła głowę do tyłu.  
Jej oczy powoli nabrały blasku, a uśmiech  
złagodził linię zaciśniętych ust. Nie  
odpowiedziała. Malvern obserwował ją przez  
chwilę, obracając w dłoniach szklankę. Spojrzał  
na podłogę i rzekł:**

**- To był twój pistolet - taki sam widziałem u  
ciebie dziś po południu. Targo zeznał, że trzymał  
broń w kieszeni na biodrze - najgorszym  
miejscu, jakie można sobie wyobrazić. I o dziwo,  
zdążył dwoma strzałami załatwić zawodowca,  
zanim ten wyjął spluwę z kabury pod pachą. To  
nie trzyma się kupy. Ale ty poznałaś tego gościa  
i jeżeli miałaś pistolet w torebce na kolanach,  
mogłaś to zrobić. Zwłaszcza, że interesował go  
Targo.**

**- Słyszałam, że jesteś prywatnym kapusiem -  
powiedziała beznamiętnie. - I w dodatku synem  
politykiera, prawdziwego bossa. Rozmawiali o  
tobie w komendzie. Wyglądało na to, że trochę  
się ciebie obawiają, szczególnie twoich**

**znajomości. Kto cię na mnie poszczuł?**

**- Oni się mnie nie boją, aniołku. Chcieli tylko sprawdzić, jak zareagujesz na takie gadki.**

**Chcieli wiedzieć, czy jestem w to zamieszany.**

**Jeszcze nie mają pojęcia o co tu chodzi.**

**- Wywęszyli już wystarczająco dużo, żeby je mieć. Malvern potrząsnął głową.**

**- Glina nigdy nie uwierzy w to, czego dowiedział się bez trudu. Zbyt jest przyzwyczajony do bajeczek. Myślę, że Mcchasey domyśla się, że to ty strzelałaś. I zna już odpowiedź na pytanie, czy broń była w kieszeni razem z chustką do nosa.**

**Oślabłe nagle palce dziewczyny wypuściły do połowy wypalonego papierosa. Przeciąg zakolysał zasłonami w oknach, zawirował popiół w popielniczce.**

**- W porządku - powiedziała powoli. - To ja go zastrzeliłam. Uważasz, że miałam inne wyjście? Po tym, co wydarzyło się po południu? Malvern skubał płatek ucha.**

**- Zbyt lekko mówię o tej sprawie - powiedział miękko. - Nie masz pojęcia, jak mi ciężko na sercu. Wydarzyło się coś strasznego, coś paskudnego. Myślałaś, że ten facet naprawdę chciał zabić Targo?**

**- Tak. Inaczej bym go nie zastrzeliła.**

**- Przypuszczam, że chciał go tylko nastraszyć. To już się zdarzało. Poza tym nocny lokal to kiepskie miejsce, jeśli chodzi o ucieczkę.**

**- Tacy ludzie nie noszą czterdziestkiptki, żeby napędzić komuś stracha. A zwiąć z lokalu**

**mógłby spokojnie. Na pewno przyszedł kogoś zastrzelić. Nie chciałam, żeby Duke nadstawiał za mnie karku. Jak już było po wszystkim, wyrwał mi pistolet z dłoni i wyszło, że strzelał on. A zresztą, jakie to ma znaczenie?**

**Wiedziałam, że prawda i tak w końcu się wyda. Ze wzrokiem utkwionym w podłódze obracała w roztargnieniu tłącego się w popielniczce papierosa.**

**- To wszystko, co chciałeś wiedzieć? - niemal szeptem zapytała po chwili? Malvern zerknął z ukosa na dziewczynę. Przyglądał się wyrazistej linii kości policzkowych i szyi.**

**- Maczał w tym palce Shenvair. Kumpel, z którym byłem "U Cyrana", śledził go do meliny. Shenvair go zastrzelił. Nie żyje. Nie żyje, aniołku... młody człowiek, który pracował w tym hotelu. Tony, szef chłopców hotelowych. Gliny jeszcze o tym nie wiedzą. W ciszy, która zapadła, rozległ się głośny szcęk zamykanych drzwi windy. W dole, na zalanym deszczem bulwarze posępnie zatrąbił jakiś samochód. Nagle dziewczyna przechyliła się do przodu, potem na bok i jej głowa opadła na kolana Malverna. Poprzecinane małymi, niebieskimi żyłkami powieki drżały. Malvern ostrożnie objął dziewczynę ramieniem, potem swobodnie, stopniowo wzmacniając chwyt, podniósł do góry, zbliżył jej twarz do swojej i pocałował w kącik ust. Otworzyła mętne, nieprzytomne oczy. Malvern pocałował ją jeszcze raz, tym razem**

**mocno i ułożył na oparciu kanapy. - Nie udawałaś, prawda, zapytał cicho. Zerwała się na równe nogi i odwróciła do niego plecami.**

**- Jest w tobie coś potwornego!**

**- powiedziała niskim, napiętym gniewnie głosem.**

**- Coś... satanicznego. Przychodzisz i mówisz, że zabito jakiegoś człowieka... a potem mnie całujesz. To jakiś absurd.**

**- Jest coś potwornego w każdym facecie, który traci głowę dla kobiety należącej do innego.**

**- Nie jestem jego kobietą! - ucięła. - Nawet go nie lubię... ciebie też. Spoglądali na siebie wrogo.**

**Malvern wzruszył ramionami. Dziewczyna zacisnęła zęby.**

**- Wynoś się! - powiedziała gwałtownie. - Nie mam już siły z tobą rozmawiać. Pójdiesz wreszcie?!**

**- Czemu nie? - odparł Malvern. Wstał, włożył marynarkę i kapelusz. Dziewczyna głośno załkała i szybkim, lekkim krokiem podeszła do okna. Stała nieruchomo, plecami do Malverna. Spojrzał na nią, zbliżył się i przez chwilę przywarł wzrokiem do jej opadających na kark miękkich włosów.**

**- Dlaczego, u diabła, nie chcesz, żebym ci pomógł? Wiem, że coś jest nie tak. Nie zrobię ci krzywdy.**

**- Wynoś się! - wściekle warknęła dziewczyna w zasłonę na oknie. - Nie chcę twojej pomocy. Wynoś się i nie wracaj. Nie chcę cię więcej widzieć.**

**- Myślę, że potrzebujesz pomocy. Czy tego chcesz, czy nie. Na biurku stoi fotografia w oprawce. Sądzę, że wiem, kim jest człowiek na zdjęciu... I sądzę, że wciąż żyje. Dziewczyna odwróciła się i z napięciem patrzyła w jego oczy. Była blada jak papier, oddychała ciężko, chrapliwie.**

**- Jestem w potrzasku. W potrzasku. Nic na to nie możesz poradzić - powiedziała po chwili, która wydawała się bardzo długa. Malvern podniósł dłoń i powoli powiódł palcami po jej policzku, aż do podbródka. Jego oczy rozjarzył twardy, brązowy blask. Uśmiechnął się przebiegle, prawie chytrze.**

**- Pomyliłem się, aniołku. Nie znam tego faceta na zdjęciu. Dobranoc. Przeszedł przez mały przedpokój i otworzył drzwi na korytarz. Dłoń dziewczyny zacisnęła się na zasłonie i przytuliła ją do policzka. Malvern nie zamknął za sobą drzwi. Zastygł w bezruchu, spoglądając na dwóch facetów z bronią gotową do strzału, którzy pojawili się na progu. Stali tak blisko, że chyba mieli właśnie zapukać. Jeden był krępy ponurakiem o ciemnej karnacji, drugi albinosem o czerwonych, przenikliwych oczach, wąskiej głowie i śnieżnobiałych włosach, które wystawały spod przemoczonego kapelusza. W odrażającym grymasie pokazał drobne, ostre zęby szczura. Malvern spróbował zamknąć drzwi.**

**- Zostaw je, kmiotku. Mówię o drzwiach.**

**Wchodzimy do środka - powiedział albinos.**

**Drugi facet przysunął się do Malverna i lewą ręką starannie go obmacał.**

**- Broni nie ma, ale za to pod pachą niezłą piersiówkę - oznajmił.**

**- Bądź spokojny, kmiotku. Panienska też nam się przyda. Albinos wymachiwał bronią.**

**- Słuchaj, Critz, możesz schować spluwę. Znam ciebie i twojego szefa. Jeżeli chce się ze mną widzieć, chętnie z nim pogadam - zaproponował Malvern. Odwrócił się i wszedł do pokoju. Dwaj faceci ruszyli za nim. Jean Adrian wciąż stała przy oknie, z zamkniętymi oczami i twarzą wtuloną w zasłonę, jakby wcale nie słyszała głosów z korytarza. Dopiero teraz gwałtownie otworzyła oczy. Powoli odwróciła się i omijając wzrokiem Malverna, spojrzała na dwóch goryli. Albinos stanął na środku pokoju, bez słowa zajrzał w każdy kąt, a potem do sypialni i łazienki. Dobięgl ich stamtąd trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Po chwili, stąpając miękko jak kot, wrócił do salonu, rozpiął płaszcz i zsunął z czoła kapelusz.**

**- Ubieraj się, siostrzyczko. Mała przejażdżka w deszczu. Okay? Dziewczyna wpatrywała się w Malverna, który wzruszył ramionami i z nieznacznym uśmiechem na wargach rozłożył ręce.**

**- Nie ma rady, aniołku. Twarz Jean Adrian wykrzywił wyraz pogardy.**

**- Ty... ty... - syknęła. Sztywno przeszła przez**



**pokój i zniknęła w sypialni. Albinos wsunął papierosa między wąskie wargi i zaniósł się gulgoczącym chichotem, jakby usta miał pełne śliny.**

**- Chyba cię nie lubi, kmiotku. Malvern zmarszczył brwi, podszedł powoli do biurka, oparł się o krawędź blatu i spojrzał na podłogę.**

**- Myśli, że ją wydałem - powiedział bezbarwnym głosem.**

**- Może ma rację - wycedził albinos.**

**- Lepiej miej ją na oku. Umie się obchodzić z bronią - ostrzegł go Malvern. Sięgnął od niechcienia do tyłu, namacał zdjęcie w ramce, położył je na blacie i wsunął pod bibularz.**

**\* \* \***

## VIII

Malvern wsparł łokieć na oparciu sterującym ze środka tylnego siedzenia samochodu i w zagłębieniu dłoni ułożył podbródek. Przez na wpół zaparowaną szybę patrzył na ulicę, na zacinający deszcz, który połyskiwał w światłach reflektorów. Bębnienie kropli o karoserię przypominało odległą strzelaninę. W przeciwny kąt wcisnęła się Jean Adrian. Miała na sobie czarny kapelusz i szare futro o jedwabistym włosie, dłuższym niż karakuły i nie tak poskręcany. Nie spojrzała nawet na Malverna i nie odzywała się do niego. Albinos siedział z przodu, obok prowadzącego samochód krępego bruneta. Jechali pustymi ulicami, cały czas pod górę, mijając zamazane domy, zamazane drzewa, zamazane światła latarni i neonów, które wylaniały się zza zasłony deszczu. Nieba nie było widać. Kiedy dotarli do skrzyżowania, w słabym świetle lampy Malvern odczytał nazwę ulicy: "Court Street".

- To włoska dzielnica, Critz. Twój szef nie ma już chyba tyle szmalu co kiedyś - powiedział cicho. Albinos spojrzał przez ramię na Malverna. W jego oczach odbijało się światło ulicy.

- Powinieneś wiedzieć, kmiotku. Zwolnili przed wielkim, drewnianym domem z ażurową werandą. W żadnym z okien nie paliło się światło. Po drugiej stronie ulicy Malvern

**zauważył budynek z cegły, a na nim szyld:  
"Paulo Perrugini - zakład pogrzebowy". Szeroki zakręt zaprowadził ich na wysypany żwirem podjazd; reflektory oświetliły wnętrze otwartego garażu. Samochód wtoczył się do środka i zatrzymał obok wielkiego, błyszczącego karawanu.**

**- Wsiadka! - szczechnął albinos.**

**- Widzę, że nasza następna podróż jest już zaplanowana - powiedział Malvern.**

**- Dowcipniś - warknął albinos.**

**- Mądrała.**

**- Aha, mam wisielcze poczucie humoru - wycedził Malvern. Krępy kumpel albinosa zgasił silnik, błysnął światłem dużej latarki, wyłączył reflektory, wysiadł z samochodu i oświetlił wąskie drewniane schody w rogu garażu.**

**- Idziemy na górę, kmiotku - zarządził albinos. - Dziewczyna pierwsza. Ja z tyłu, z gnatem w rękę. Jean Adrian wysiadła z samochodu, nawet nie spojrzawszy na Malverna. Zaczęła wspinać się po schodach, na czele procesji złożonej z trzech mężczyzn. Jej ruchy były sztywne. Po chwili otworzyła drzwi na szczycie schodów i wszystkich oślepiło ostre białe światło. Weszli na puste, poprzedzielane podporami stropu poddasze z zamkniętymi na głucho i zamalowanymi na czarno kwadratowymi oknami. Naga żarówka zwisała nad kuchennym stołem, przy którym tkwił jakiś zwalisty mężczyzna. Tuż przy jego łokciu stała**

wypełniona niedopałkami podstawka pod doniczkę. Dwa wciąż jeszcze się tliły. Na łóżku pod ścianą siedział chudy facet z lugerem obok lewej dłoni. Wyposażenia pokoju dopełniały jakieś pojedyncze meble i wytarty dywan. Na wpół otwarte drzwi w rogu pomieszczenia odsłaniały sedes i fragment staroświeckiej wanny na żelaznych nóżkach. Mężczyzna przy stole nie był przystojniakiem. Kwadratową, agresywną twarz o mocno zarysowanych szczękach zdobiły włosy koloru marchewki i ciemniejsze od nich brwi. W grubych wargach ścisnął papierosa. Drogie ubranie, które miał na sobie, wyglądało, jakby w nim sypiał. Niedbale rzucił okiem na Jean Adrian.

- Zaparkuj gdzieś tutaj, siostrzyczko - powiedział, nie wyjmując z ust papierosa. - Cześć, Malvern. Mańkut, daj mi gnata, a wy, chłopaki, spadajcie na dół. Dziewczyna przeszła cicho przez poddasze i usiadła na prostym, drewnianym krześle. Mężczyzna na łóżku wstał, zbliżył się do kuchennego stołu, położył lugera obok łokcia zwalistego i razem z resztą obstawy zszedł na dół. Drzwi zostawił otwarte. Wielki facet dotknął lugera i spojrzał na Malverna. - Jestem Doll Conant, może sobie mnie przypominasz - powiedział sarkastycznie. Malvern stał swobodnie. Szeroko rozstawił nogi, głowę odchylił do tyłu, a ręce włożył do kieszeni płaszcza. Ale spojrzenie jego sennie przymkniętych oczu było bardzo zimne.

**- Pamiętam. Pomogłem mojemu ojcu przykleić ci jedyny wyrok, jaki dostałeś.**

**- Nie było żadnego wyroku, głupku. Sąd apelacyjny go uchylił.**

**- Może tym razem się uda - beztrosko rzekł Malvern. - Na obszarze tego stanu porwanie to poważne przestępstwo. Conant wykrzywił twarz w uśmiechu. Jej wyraz wskazywał, że jest w dobrym humorze.**

**- Nie ma się o co kłócić. Jest interes do obgadania, a ty znasz lepsze dowcipy niż ten, który przed chwilą powiedziałeś. Siadaj... albo lepiej idź zobaczyć eksponat numer 1. Leży w wannie. Przyjrzyj mu się dobrze. Potem możemy podyskutować. Malvern odwrócił się, podszedł ku drzwiom łazienki, pchnął je i wszedł do środka. Zapalił żarówkę w oprawce przymocowaną do ściany i pochylił się nad wanną. Zesztywniał. Po chwili bardzo wolno wypuścił powietrze z płuc, lewą ręką przymknął drzwi i jeszcze raz nachylił się nad wielką żeliwną wanną. Była wystarczająco długa, by pomieścić wyprostowanego człowieka. Leżał na plecach. W ubraniu i kapeluszu na głowie, chociaż nie wyglądało na to, że sam go włożył. Włosy miał gęste, kędzierzawe, mocno przetykane siwizną. Twarz była zalana krwią. W wewnętrznym kącie lewego oka Malvern dostrzegł dziurę z czerwoną obwódka. To był Shenvair. Nie żył. Malvern wciągnął powietrze i powoli się wyprostował. Nagle jego uwagę**

przykuła szczelina pomiędzy wanną i ścianą. Na zakurzonej podłodze połyskiwał metalicznie jakiś przedmiot. Rewolwer - taki sam, jakim wymachiwał Shenvair. Obejrzał się szybko. Przez szparę w nie domkniętych drzwiach zobaczył fragment poddasza, wejście na schody i stopę Dolla Conanta na dywanie pod kuchennym stołem. Powoli sięgnął za wannę i podniósł rewolwer. Cztery odsłonięte komory bębena załadowane były nabojami w stalowych płaszczach. Malvern wsunął broń do kieszeni na biodrze, ściągnął pasek i zapiął płaszcz. Wychodząc z łazienki, ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

- Siadaj - powiedział Doll Conant i wskazał krzesło po drugiej stronie stołu. Malvern zerknął na Jean Adrian. Spod czarnego kapelusza wpatrywały się w niego zaintrygowane oczy, na tle białej, nieruchomej twarzy ciemne i nieokreślone. Uśmiechnął się do niej i gestem wskazał łazienkę.

- Tam jest pan Shenvair. Miał wypadek... Nie żyje. Spojrzenie, którym go obdarzyła, było bez wyrazu. Nagle wzdrygnęła się gwałtownie i ponownie popatrzyła na niego. Malvern usiadł na krześle po drugiej stronie stołu. Conant zerknął na niego i do kolekcji w białej podstawce dorzucił jeszcze jeden niedopałek. Pociągnięciem przez całą długość blatu zapalił zapalniczkę i przytknął ją do następnego papierosa.

- Tak, nie żyje. Ty go zastrzeliłeś - powiedział

niedbale i wydmuchnął chmurkę dymu.

- Nie - uśmiechnął się Malvern i potrząsnął lekko głową.

- Daruj sobie te niewinne oczęta, kolego.

Zastrzelełeś go. Ten lokal należy do Perruginiego

- makaroniarskiego grabarza, który ma swój zakład po drugiej stronie ulicy. Od czasu do czasu na kilka godzin wynajmuje to mieszkanie chłopakom. Tak się składa, że to mój kumpel, jest bardzo pomocny w kontaktach z makaroniarzami. Ostatnio wynajął poddasze Shenvairowi. Włoch nie znał go, ale ten wiedział, jak z nim gadać. Dziś wieczorem Perrugini usłyszał strzały, wyjrzał przez okno i zobaczył gościa wsiadającego do samochodu. Zdążył odczytać numery. Twoje numery. Malvern znowu potrząsnął głową.

- Ale to nie ja go zastrzeliłem.

- Spróbuj to udowodnić... Makaroniarz przyleciał tu i na schodach znalazł Shenvaira. Już nie żył. Zawłókł go na górę i wsadził do wanny - jakiś głupi pomysł, przypuszczalnie ze względu na krew. Potem przeszukał go i znalazł licencję prywatnego detektywa. Wtedy naprawdę strach go obleciał. Kiedy dowiedziałem się od niego, kto tu leży, wskoczyłem do bryki i przycisnąłem gaz do dechy. Conant urwał i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w Malverna.

- Słyszałeś o strzelaniu w lokalu "U Cyrana"?

- cicho zapytał Malvern. Conant skinął głową.

**- Byłem tam razem z chłopakiem z mojego hotelu - ciągnął Malvern. - Tuż przed aferą Shenvair uderzył mnie. Chłopak pojechał za nim aż tutaj i doszło do strzelaniny. Shenvair był pijany i wystraszony. Założę się, że to on strzelił pierwszy. Nawet nie wiedziałem, że chłopak ma gnata. Shenvair postrzelił go w brzuch. Dzieciak zdołał jeszcze dotrzeć do swojego hotelu. Przed śmiercią napisał mi kilka słów na kartce. Mam ją przy sobie.**

**- To ty zastrzeliłeś Shenvaira albo zleciłeś to chłopakowi - powiedział po chwili Conant. - Powiem ci dlaczego: chciał się wycofać z tego waszego interesu z szantażem i wygadał wszystko Courtwayowi. Malvern wyglądał na zaskoczonego. Rzucił spojrzenie ku Jean Adrian. Siedziała pochylona na łóżku i wpatrywała się w niego roziskrzonymi oczami. Na twarz wróciły jej rumieńce.**

**- Przepraszam cię, aniołku - powiedziała miękko. - Pomyliłam się co do ciebie. Lekki uśmiech rozjaśnił twarz Malverna.**

**- Ona myślała, że to ja puściłem farbę - powiedział do Conanta. - Czy przypadkiem ten Courtway to nie nasz senator stanowy, a twój tresowany piesek? Twarz Conanta pobladła. Położył papierosa na podstawce, pochylił się nad stołem i walnął Malverna pięścią w usta. Malvern wraz z koślawym krzesłem rąbnął do tyłu i uderzył głową o podłogę. Jean Adrian zerwała się z łóżka. Malvern, przekręciwszy się**



na brzuch, wstał i postawił krzesło. Z kieszeni wyjął chustkę, którą raz i drugi przyłożył do ust. Na schodach zadudniły czyjeś kroki i do pokoju zajrzał albinos. W rękę trzymał rewolwer.

- Potrzebuje pan pomocy, szefie?

- Wynoś się - nie patrząc na niego, powiedział Conant. - Wynoś się, zamknij drzwi i nie kręć się tutaj! Drzwi się zamknęły. Po chwili ucichły kroki albinosa. Malvern zwiesił lewą rękę za oparciem krzesła i kołysał nią lekko w tę i w tę. W prawej dłoni wciąż trzymał chustkę.

Wargi mu pociemniały i zaczęły puchnąć. Oczy utkwiał w lugerze leżącym obok łokcia Conanta, który właśnie wyjął z podstawki papierosa i włożył go do ust.

- Jeżeli ci się zdaje, że będę chciał ukreślić kark tej aferze z szantażem, to jesteś w błędzie, braciszku. Załatwię to od ręki. Raz na zawsze. A ty wszystko wyśpiewasz. Na dole czeka trzech chłopaków, którym przyda się trochę gimnastyki. Lepiej zacznij mówić.

- W porządku. Ale twoi chłopcy są na dole. - Malvern schował chustkę pod płaszcz i wyjął ją wraz z rewolwerem. - Weź lugera za lufę i przesuń go do mnie. Conant nawet nie mrugnął. Jego oczy zamieniły się w szparki. Papieros drgnął w zaciśniętych ustach. Nie dotknął lugera.

- Chyba wiesz, co się teraz z tobą stanie - powiedział po chwili. Malvern lekko potrząsnął głową.

**- Chyba mnie to tak bardzo nie interesuje. Ale jeżeli nawet coś się ze mną stanie, to ty na pewno się o tym nie dowiesz. Przez długie sekundy Conant nieruchomo wpatrywał się w Malverna i jego rewolwer.**

**- Skąd go masz? Te fagasy cię nie obszukały?**

**- Obszukały. To jest rewolwer Shenvaira. Twój przyjaciel makaroniarz musiał kopnąć go pod wannę. Bardzo nierozsądnie. Dwoma grubymi paluchami Conant odwrócił lugera i popchnął go w stronę Malverna. Pokiwał głową.**

**- To rozdanie przegrałem - powiedział bezbarwnym głosem. - Powinienem był o tym pomyśleć. W tej sytuacji to chyba ja muszę zacząć gadać. Jean Adrian szybkim krokiem przemierzyła pokój i stanęła przy stole. Malvern lewą ręką zgarnął lugera i wsunął go do kieszeni płaszcza. Dłoń, w której trzymał rewolwer, oparł na poręczy krzesła.**

**- Kim jest ten człowiek? - zapytała Jean Adrian.**

**- To Doll Conant, miejscowa szycha. Senator John Myerson Courtway jest jego wtyczką w Kongresie Stanowym. A senator Courtway, aniołku, to człowiek, którego zdjęcie widziałem na twoim biurku. Człowiek, o którym mówiłaś, że był twoim ojcem i że nie żyje.**

**- To jest mój ojciec - bardzo spokojnie odpowiedziała dziewczyna. - Wiedziałam, że żyje. Właśnie szantażuję go... na sto kawałków. Shenvair, Targo i ja. Nigdy nie ożenił się z moją matką. Jestem bękartem. Ale jako jego córka**

**mam jakieś prawa. Przez cały czas podle traktował moją matkę, a na koniec zostawił ją bez grosza. Wynajął detektywów, żeby mnie śledzili. Całymi latami. Jednym z nich był Shenvair. Rozpoznał mnie na fotosach przed lokalem "U Cyrana". Wtedy poznałam Targo. Shenvair pojechał do San Francisco i przywiózł kopię mojej metryki. Mam ją ze sobą. Pogrzebała w torebce. Z kieszonki w podszewce, zamykanej na zamek błyskawiczny, wyjęła papier i położyła na stole. Conant spojrział na dziewczynę, sięgnął po niego, rozłożył i przeczytał.**

**- To niczego nie dowodzi - powiedział powoli. Malvern wyjął lewą rękę z kieszeni i wyciągnął ją po dokument. Conant popchnął go po stole w jego kierunku. Była to rejentalnie poświadczona kopia metryki dziewczynki, Adriany Gianni Myerson, córki Johna i Antoniny Gianni Myerson. Malvern położył papier na biurku. - Adriana Gianni - Jean Adrian. Czy to odwrócenie miało coś znaczyć, Conant? Mężczyzna potrząsnął głową.**

**- Shenvair przestraszył się, wykombinował sobie tę kryjówkę i dał cynk Courtwayowi. Myślałem, że to dlatego dostał w czapę. Targo nie mógł tego zrobić, bo siedzi w komisariacie. Może pomyliłem się co do ciebie, Malvern. Malvern bez słowa, tępo wpatrywał się w Conanta.**

**- To moja wina - powiedziała Jean Adrian. - Cała ta paskudna sprawa to tylko moja wina.**

**Teraz to widzę. Chciałabym powiedzieć Courtwayowi, że już nigdy o mnie nie usłyszysz i... że jest mi przykro. Chciałabym tylko wymóc na nim obietnicę, że nic nie zrobi Duke'owi? Mogę?**

**- Co tylko zechcesz, aniołku - zapewnił ją Malvern. - Moje dwie spluwy też się zgadzają. Ale dlaczego czekałaś z tym tak długo? Dlaczego nie dochodziłaś swoich praw w sądzie? Przecież pracujesz w rozrywce. Rozgłoś tylko by ci pomógł - nawet gdybyś przegrała. Dziewczyna zagryzła wargi.**

**- Moja matka nigdy nie wiedziała, kim naprawdę był, nawet nie знаła jego nazwiska. Dla niej był po prostu Johnem Myersonem. Ja też go nie znałam**

**- do czasu kiedy zobaczyłam w gazecie jego fotografię. Zmienił się, ale go rozpoznałam. No i oczywiście zgadzały się imiona.**

**- Nie poszłaś do sądu, bo cholernie dobrze wiedziałaś, że nie jesteś jego córką - przerwał szyderczo Conant. - Twoja matka nagadała ci bzdur, jak każda tania dziwka, której szmal przeszedł koło nosa. Courtway mówi, że może to udowodnić i wsadzi cię tam, gdzie twoje miejsce. I tylko dlatego ten dumny głupiec pozwoli na odgrzebanie sprawy sprzed dwudziestu lat, choćby to miało kosztować go utratę dobrego imienia. - Zwalisty mężczyzna wypluł niedopałek i dodał. - Wyłożyłem kupę szmalu, żeby go umieścić gdzie trzeba, i nie chcę nic zmieniać. Koniec zabawy, siostrzyczko. Nie**

**mam zamiaru się z wami cackać. Będziesz musiała się trochę przewietrzyć. Jeżeli chodzi o twojego uzbrojonego w dwie spluwy przyjaciela... Nawet jeżeli nie miał pojęcia o całej sprawie, to teraz już ma i jedzie z tobą na jednym wózku. Conant huknął dłonią w stół, odchylił się do tyłu i spokojnie spoglądał na błyszczący rewolwer w dłoni Malverna. Malvern nie spuszczał wzroku z twarzy zwałistego mężczyzny.**

**- Ten gość ze spluwą "U Cyrana", dziś wieczorem... Czy to przypadkiem nie twój pomysł na zakończenie zabawy, Conant? - zapytał cicho. Conant skrzywił się i potrząsnął głową. Drzwi prowadzące na schody otwarte zostały bezszelestnie, Malvern tego nie widział. Ale widziała Jean Adrian i cofnęła się. Ten ruch i jej rozszerzone oczy przyciągnęły spojrzenie Malverna. Do pokoju cicho wszedł albinos z bronią w ręku. Jego czerwone oczy błyszczały. Usta rozciągnął w szyderczym uśmiechu.**

**- Przez te drzwi wszystko słyhać, szefie. A ty, kmiotku, rzuć spluwę, bo rozwalę na kawałki ciebie i dziewczynę. Malvern odwrócił się i otworzył prawą dłoń. Rewolwer upadł na wytarty dywan, podskoczył kilka razy i znieruchomiał. Nie patrząc nawet na Jean Adrian, Malvern wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Albinos zbliżył się i przystawił broń do jego pleców. Conant wstał, obszedł stół i wyjął mu lugera z kieszeni płaszcza. Podrzucił go w**

dłoni i z nieruchomą twarzą, bez słowa walnął nim Malverna w szczękę. Malvern zatoczył się jak pijany i upadł na podłogę. Jean Adrian krzyknęła i rzuciła się na Conanta z paznokciami. Odepchnął ją, przelożył pistolet do lewej dłoni i prawą uderzył dziewczynę mocno w twarz.

- Tylko spokojnie, siostrzyczko. Koniec zabawy. Albinos podszedł do schodów i krzyknął coś na dół. Dwaj goryle wkroczyli do pokoju i uśmiechając się szyderczo, stanęli pod ścianą. Malvern leżał bez ruchu na podłodze. Conant zapalił kolejnego papierosa i knykciami zabębnił w blat stołu, tuż obok metryki.

- Ona chce widzieć się z ojcem. W porządku - zobaczy go. Wszyscy go zobaczymy. W tej sprawie wciąż mi coś śmierdzi - powiedział i podniósł wzrok na krępego goryla. - Weź ze sobą Mańkuta, wyciągnijcie z komisariatu Targo i zawieźcie go do domu senatora. Tylko migiem. No, jazda. Dwaj mężczyźni zeszli na dół. Conant rzucił okiem na leżącego i lekko kopnął go w żebra. Kopał tak dopóty, dopóki Malvern nie poruszył się i nie otworzył oczu.

\* \* \*

## IX

Samochód stał na wzgórzu przed kutą żelazną bramą. Domek odźwiernego był wewnątrz, tuż obok. W prostokącie żółtego światła z otwartych drzwi stał wysoki mężczyzna w płaszczu i nasuniętym na czoło kapeluszu. Nieśpiesznie podszedł do bramy, trzymając ręce głęboko w kieszeniach. Krople deszczu spływały po jego butach. Albinos, szcękając zębami, opierał się o bramę.

- Czego chcecie? - zapytał wielki facet.

- Rusz się, kmiotku. Pan Conant ma interes do twojego szefa. Facet splunął w wilgotną ciemność.

- I co z tego? Wiesz, która godzina? Nagle otworzyły się drzwi samochodu i Conant poszedł do bramy. Deszcz zagłuszył głosy rozmawiających. Malvern powoli odwrócił głowę do Jean Adrian i pogładził ją po ręce. Odtrąciła jego dłoń.

- Ty głupcze... ty głupcze - powiedziała cicho. Malvern westchnął.

- Świetnie się bawię, aniołku. Naprawdę świetnie. Człowiek po drugiej stronie bramy wyciągnął z kieszeni pęk kluczy na długim łańcuchu. Wrota rozwarły się na oścież i uderzyły o stalowe ograniczniki. Conant i albinos wrócili do samochodu. Oparty obcasem o próg limuzyny, Conant mókł na deszczu. Malvern wyciągnął z kieszeni marynarki swoją

wielką piersiówkę, sprawdził, że nie jest pocięta, zdjął nakrętkę i podał butelkę dziewczynie.  
- Łyknij trochę dla kurazu. Nie zareagowała. Siedziała nieruchomo. Malvern napił się, schował piersiówkę i spojrzał obok szerokich pleców Conanta na ociekające wodą drzewa w parku i zawieszane w powietrzu rozświetlone okna domu. Przebijając reflektorami mokrą ciemność, na wzgórze wjechał samochód i stanął obok limuzyny. Conant podszedł do niego, przez uchyloną szybę wsadził do środka głowę i powiedział kilka słów. Samochód cofnął się i skierował ku bramie. Światła omiotły mur przy wrotach i po chwili zniknęły, by pojawić się jako ostre, białe kręgi na tle kamiennej "porte coch~ere" na szczycie wzgórza. Conant wsiadł do limuzyny i albinos ruszył śladem pierwszego samochodu. Po chwili wszyscy znaleźli się na okolonym cyprysami, okrągłym wybetonowanym podejździe. W otwartych drzwiach na szczycie schodów stał mężczyzna w płaszczu kąpielowym. Trochę niżej Malvern zobaczył Targo. Tkwił między dwoma gorylami, z gołą głową, bez płaszcza. Kamerdyner w szlafroku poprowadził ich przez obwieszony portretami przodków korytarz, potem przez wytworny owalny westybul i znów przez korytarz. Cała gromada trafiła w końcu do ozdobionego panneaux gabinetu z ciężkimi zasłonami, głębokimi skórzanymi fotelami i przyćmionym światłem. Za wielkim biurkiem, w



niszy utworzonej przez niskie półki z książkami, stał bardzo wysoki i bardzo chudy mężczyzna. Miał gęstą, białą czuprynę i pobrużdżoną twarz, małe, zgorzkniałe usta i czarne, puste oczy. Jego lekko przygarbioną, niewiarygodnie chudą sylwetkę okrywał niebieski, sztruksowy szlafrok z satynowymi wyłogami. Kamerdyner zamknął drzwi, lecz Conant zaraz je otworzył i kiwnięciem głowy wyprosił z gabinetu dwóch goryli. Albinos stanął za Targo i popchnął go na krzesło. Bokser wyglądał na oszołomionego. Miał uwalany policzek i oczy naszprycowanego. Jean Adrian podbiegła do niego.

- Och, Duke... Nic ci nie jest? Targo zerknął na nią i lekko się skrzywił.

- Musiałaś zakapować, co? Nieważne. Ze mną wszystko w porządku - powiedział nienaturalnym głosem. Dziewczyna odsunęła się i skuliła na krześle, jakby zrobiło się jej zimno. Wysoki mężczyzna zmierzył gościa lodowatym spojrzeniem.

- Czy to ci szantażyści? - zapytał obojętnie. - Czy konieczne było przywożenie ich tutaj w środku nocy? Conant rzucił płaszcz na podłogę obok dużej lampy, zapalił papierosa i stanął w rozkroku na środku gabinetu. Wielki, bardzo pewny siebie, twardy i szorstki.

- Dziewczyna chciała się z panem zobaczyć i przeprosić za wszystko. Będzie z nami współpracować. Ten gość w kremowej marynarce to Targo - bokser. Brał udział w

**strzelaniu w nocnym lokalu, a potem tak się popisywał w komisariacie, że musieli go nakarmić tabletkami nasennymi. Ten drugi, to Ted Malvern, syn starego Marcusa Malverna. Jeszcze nie wiem, w co się bawi.**

**- Jestem prywatnym detektywem, senatorze - oschle rozpoczął Malvern. - Reprezentuję interesy mojej klientki, panny Adrian. -**

**Roześmiał się. Dziewczyna rzuciła mu szybkie spojrzenie, potem wbiła wzrok w podłogę.**

**- Shenvair, ten facet, o którym pan już wie, został załatwiony - opryskliwym tonem ciągnął Conant. - Nie przez nas. To jeszcze trzeba wyjaśnić. Wysoki mężczyzna chłodno skinął głową, usiadł za biurkiem i białym piórem połaskotał ucho.**

**- Jaki ma pan sposób na rozwiązanie tej sprawy, panie Conant? - zapytał. Conant wzruszył ramionami.**

**- Jestem twardy chłopak, ale tym razem rozegramy to zgodnie z prawem. Pogadam z prokuratorem okręgowym i wpakuję ich do pudła pod zarzutem wyłudzenia. Dla gazet wysmaży się jakąś bajeczkę, a potem poczekamy, aż wszystko przyschnie. Następnie wywieziemy ich poza granice stanu z zakazem powrotu, bo jak nie... Senator Courtway połaskotał piórem drugie ucho.**

**- Mogą mi szkodzić nawet z daleka - stwierdził chłodno. - Jestem gotów pójść na publiczną konfrontację. Wtedy ci szantażyści trafią tam,**

gdzie ich miejsce.

- Nic z tego, Courtway. To byłaby polityczna śmierć.

- Jestem zmęczony życiem polityka, Conant. Z chęcią przejdę na emeryturę. - Usta wysokiego mężczyzny wygięły się w słabym uśmiechu.

- Po moim trupie - warknął Conant i odwróciwszy głowę, rzucił. - Podejź no tu, siostrzyczko. Jean Adrian wstała, powoli przeszła przez pokój i zatrzymała się przed biurkiem.

- Poznajesz ją? - zapytał Conant. Przez długą chwilę Courtway beznamiętnie wpatrywał się w ściągniętą napięciem twarz dziewczyny. Położył pióro na biurku, otworzył szufladę i wyjął fotografię. Dobrych parę sekund spoglądał to na dziewczynę, to na zdjęcie.

- Zostało zrobione dawno temu, ale widzę duże podobieństwo. Bez wahania mogę powiedzieć, że to ta sama twarz. Rzucił fotografię na biurko i równie nieśpiesznym ruchem wyjął z szuflady pistolet. Położył go obok. Conant spojrział na broń i skrzywił usta.

- Nie będzie pan tego potrzebował, senatorze - powiedział głucho. - Niech pan posłucha, ten pański pomysł z konfrontacją jest do kitu. Lepiej weźmy od tej zgrai poświadczone zeznania i będziemy mieli ich w garści. Jeżeli zaczną podskakiwać, zawsze zdążymy załatwić ich inaczej. Malvern uśmiechnął się nieznacznie i podszedł do biurka.

- Chciałbym rzucić okiem na tę fotografię - powiedział i nagłym ruchem pochylił głowę nad blatem. Chuda dłoń Courtwaya sięgnęła po pistolet, by po chwili rozluźnić chwyt. Senator odchylił się w krześle i obserwował Malverna. Malvern obejrzał fotografię i położył ją na biurku.

- Siadaj na miejsce - powiedział do Jean Adrian. Dziewczyna obróciła się na pięcie, przemierzyła pokój i opadła na krzesło.

- Pański pomysł z konfrontacją bardzo mi się podoba, senatorze. To byłby czysty, postępowy i całkowicie nowy rozdział w polityce pana Conanta. Ale nic z tego nie wyjdzie. - Postukał paznokciem w zdjęcie. - To tylko powierzchowne podobieństwo, nic więcej. Nie sądzę, żeby to była ta sama dziewczyna. Ta na zdjęciu ma inny kształt uszu. Panna Adrian ma krótszą żuchwę i inaczej osadzone oczy, nie tak blisko. Te rzeczy się nie zmieniają. I co w końcu macie? List z żądaniem pieniędzy. Być może, ale nie możecie podwiązać go do nikogo, w przeciwnym razie dawno byście już to zrobili. Jest jeszcze imię. To czysty przypadek. Co wam pozostaje? Twarz Conanta wyglądała jak wykuta z granitu, usta wykrzywił grymas.

- A co powiesz, mądralo, o metryce, którą dziewczyna wyciągnęła z torebki? - Głos lekko mu drżał. Malvern uśmiechnął się, koniuszkami palców potarł szczękę.

- Myślałem, że dostałeś ją od Shenvaira? -

oznajmił chytrze. - A Shenvair nie żyje. Twarz Conanta z trudem maskowała furję. Zaciśnął zęby i szarpnął się do przodu.

- Ty... parszywy, wszawy... Jean Adrian, pochyłona, zatopiła szeroko otwarte oczy w Malvernie. Targo wpatrywał się w Malverna wzrokiem wyblakłym, twardym, ze swobodnym uśmiechem na ustach. Courtway też nie odrywał spojrzenia od Malverna, choć twarz jego nie wyrażała żadnych emocji. Siedział zimny, rozluźniony, nieobecny. Nagle Conant roześmiał się i strzelił palcami.

- W porządku, gadaj, co wykombinowałeś - burknął.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie dojdzie do konfrontacji - zaczął Malvern. - Strzelanina "U Cyrana". Te próby zmuszenia Targo do poddania mało ważnej walki. Oprych, który napadł na pannę Adrian w jej pokoju hotelowym, ogłuszył ją i zostawił na progu. Nie możesz ruszyć swoją wielką czaszką Conant? Nie możesz złożyć tego do kupy? Ja mogę. Courtway pochylił się nagle do przodu i chwycił rękojeść pistoletu. Jego czarne oczy wyglądały w białej zmrożonej twarzy niczym dziury. Conant stał nieruchomo. Milczał.

- Dlaczego grożono Targo, a potem, jak nie poddał walki, ten gość ze spluwą chciał go załatwić w nocnej knajpce "U Cyrana", najgorszym pod słońcem miejscu na taką robotę? Dlatego, że Targo był tam z dziewczyną,

**a sam Cyrano był sponsorem. Jeżeli cokolwiek stałoby się w jego lokalu, policja połknęłaby bajeczkę o pogróżkach, zanim zaczęłaby myśleć o innych możliwościach. Te pogróżki stanowiły przygotowanie do zabójstwa. Dziewczyna miała zostać załatwiona podczas strzelaniny tak, że dla policji byłaby przypadkową ofiarą podczas zamachu na Targo. Gość mógłby przy okazji wykończyć i Targo, ale przede wszystkim chodziło o Adrian. Dlatego że w tym szantażu to ona grała pierwsze skrzypce. Bez niej nie byłoby o czym gadać. Gdyby została na tym świecie, mogłaby płatać się po sądach w sprawach o uznanie ojcostwa, o ile nie udałoby się jej tego załatwić w inny sposób. Ty, Conant, wiedziałeś o niej od Targo, bo Shenvair spietrał się i wysypał. Shenvair musiał znać oprycha, bo jak zobaczyłem go w knajpie, wciągnął mnie w pijacką bijatykę tylko po to, żebym nie przeszkadzał. Malvern zamilkł i zerknął spod oka na Conanta.**

**- Ja się nie bawię w takie klocki, kolego - powiedział ochryple Conant. - Możesz mi wierzyć albo nie - ale się nie bawię.**

**- Posłuchaj. OPrych mógł swobodnie zabić dziewczynę już w hotelu. Wystarczyłoby mocniejsze uderzenie pałką. Nie zrobił tego, bo nie było tam Targo. Walka miała się odbyć dopiero wieczorem i całe przedstawienie poszłoby na marne. Oprych przyszedł do hotelu, bo chciał ją po prostu zobaczyć z bliska, bez**

**makijażu. Ale ona wpadła w panikę i sięgnęła po broń. No to dał jej po głowie i uciekł. Ta wizyta była wystawieniem na strzał.**

**- Ja się nie bawię w takie klocki, kolego - powtórzył Conant i z kieszeni płaszcza wyjął lugera. Malvern wzruszył ramionami i odwrócił się do senatora Courtwaya.**

**- Ty nie, ale on tak - powiedział spokojnie. - Miał motyw i nikt by go nawet nie podejrzewał. Wysmażyli to razem z Shenvairem, a jeżeli coś poszłoby nie tak, co zresztą się stało, Shenvair zwałby. Jeśli chłopcy z policji trochę by pogłówkowali, to tylko wielki, twardy Doll Conant wdepnąłby w to po uszy. Courtway uśmiechnął się nieznacznie.**

**- Ten młody człowiek jest bardzo pomysłowy, ale z pewnością... - zaczął martwym głosem. Targo wstał z krzesła. Twarz zastygła mu w maskę.**

**- Dla mnie ta historia jest w porządku. Coś mi się zdaje, że skręcę ci ten... cholerny kark, panie Courtway.**

**- Siadaj, gnojku - warknął albinos i podniósł broń. Targo błyskawicznie obrócił się i trzasnął go w szczękę. Cios odrzucił albinosa i rozpląszczył go na ścianie. Z bezwładnych palców wyleciał pistolet. Targo ruszył przez pokój. Conant patrzył na niego kątem oka, bez najmniejszego ruchu. Targo przechodząc obok, prawie go dotknął. Nawet jeden mięsień nie drgnął w jego wielkiej, pustej twarzy. Oczy pod**

ciężkimi powiekami zwięzły się, przypominały teraz połyskujące szparki. Wszyscy, z wyjątkiem Targo, znieruchomieli. Wtem Courtway podniósł pistolet, jego palec wskazujący pobiełał, gdy naciskał spust. Broń wypaliła. Malvern szybko zasłonił sobą Jean Adrian. Targo spojrzął na swoje dłonie. Twarz wykrzywił mu głupawy uśmiech. Usiadł na podłodze i przycisnął ręce do piersi. Courtway znów podniósł broń i wtedy ruszył się Conant. Poderwany do góry luger dwa razy plunął płomieniem. Z dłoni Courtwaya pociekła krew. Jego pistolet upadł za biurko. Długa sylwetka senatora złożyła się niczym scyzoryk, gdy sięgał po broń. Ponad blat wystawały tylko zgarbione barki.

- Wstawaj, ty pieprzona, oszukańcza świnio - wrzasnął Conant. Za biurkiem rozległ się strzał. Barki Courtwaya zniknęły. Conant obszedł mebel, pochylił się i po chwili wyprostował.

- Połknął pestkę - powiedział bardzo spokojnie. - Włożył lufę w usta... A ja straciłem ładnego, zadbanego senatora. Targo oderwał ręce od piersi i runął bokiem na podłogę. Drzwi do gabinetu otworzyły się z trzaskiem. Stał w nich kamerdyner, potargany, z szeroko otwartymi ustami. Chciał coś powiedzieć, ale zobaczył broń w dłoni Conanta i nieruchomego Targo na podłodze. Nie powiedział nic. Albinos powoli gramolił się z podłogi. Dotknął zębów, potrząsnął głową, zaczął delikatnie masować



szczękę. Potem wolno przesunął się wzdłuż ściany i podniósł broń.

- Niezły z ciebie goryl - warknął Conant. - Zadzwoń do kapitana Malloya; ma dziś nocny dyżur. Z życiem! Malvern odwrócił się do Jean Adrian i uniósł jej podbródek.

- Już świta, aniołku. I chyba przestał padać deszcz - powiedział powoli i wyjął swoją piersiówkę. - Wypijmy... za pana Targo. Dziewczyna potrząsnęła głową i ukryła twarz w dłoniach. Po dłuższej chwili rozległy się syreny.

\* \* \*

## X

Szczupły, zmęczony chłopak w błękitno-srebrnej liberii hotelu Carondelet oparł rękę w białej rękawiczce o drzwi windy.

- Czynaki Corky'ego powoli się leczą, ale do pracy jeszcze nie przyszedł, panie Malvern. Tony'ego, szefa chłopców hotelowych, też dziś nie ma. Niektórzy umieją się urządzać. Malvern stał w kącie windy, blisko Jean Adrian. Poza nimi i windziarzem nie było nikogo.

- To tylko tobie tak się zdaje

- powiedział. Chłopak poczerwieniał.

- Nie przejmuj się, synu - poklepał go po ramieniu Malvern.

- Całą noc czuwałem przy chorym przyjacielu. Masz, kup sobie drugie śniadanie.

- Rany, panie Malvern, ja nie chciałem... Winda zatrzymała się na dziewiątym piętrze. Poszli korytarzem do apartamentu 914. Malvern wyjął klucz, otworzył, włożył go do zamka z drugiej strony.

- Przytul na chwilę głowę do poduszki - powiedział z dłonią na klamce. - Zabierz ze sobą moją piersiówkę, przyda ci się przed snem. Dziewczyna weszła do pokoju.

- Nie chcę alkoholu - rzuciła przez ramię. - Wstąp na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć.

Malvern wszedł do środka i zamknął drzwi. Jasna smuga światła przecinała dywan od okna do kanapy. Zapalił papierosa i wpatrywał się w

nią intensywnie. Jean Adrian usiadła, zerwała z głowy kapelusz i rozrzuciła włosy. Milczała przez chwilę.

- To bardzo ładnie z twojej strony, że pomogłeś mi wydostać się z tych tarapatów - zaczęła powoli, starannie dobierając słowa. - Jednego tylko nie wiem: dlaczego to zrobiłeś.

- Jest kilka powodów, ale żaden z nich nie przywróci Targo do życia - odparł Malvern. - To do pewnego stopnia była moja wina. Chociaż z drugiej strony nie prosiłem go o skръcenie karku senatorowi.

- Myślisz, że z ciebie twardziel, ale jesteś tylko patałachem, który dla byle włóczęgi pakuje się w kłopoty. Daj sobie z tym spokój. Z Targo i ze mną. Szkoda dla nas twojego czasu. Mówię ci to dlatego, że mam zamiar wyjechać stąd tak szybko, jak to możliwe. Nie zobaczysz mnie więcej. To jest pożegnanie. Malvern pokiwał głową. Nie odrywał wzroku od smugi światła na dywanie.

- Trudno mi o tym mówić - ciągnęła dziewczyna.

- Kiedy powiedziałam, że jestem włóczęgą, nie szukałam współczucia. Dusiałam się w zbyt wielu tanich sypialniach, rozbierałam się w zbyt wielu parszywych garderobach, minęło mnie zbyt wiele posiłków i skłamałam zbyt wiele razy, żeby być kimś innym. Dlatego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nigdy.

- Podoba mi się sposób, w jaki to mówisz. Nie przerywaj - powiedział Malvern. Spojrzała na

**niego i po chwili odwróciła wzrok.**

**- Wcale nie nazywam się Gianni. Domyśliłeś się tego. Ale ją znałam. Robiliśmy jako przyszywane siostry numery taneczne na scenkach, kiedy modne były jeszcze tańczące rodzeństwa. Ada i Jean Adrian. Zrobiliśmy klapę. Pojechałyśmy w trasę do Nowego Orleanu i też zrobiliśmy klapę. Gianni nie wytrzymała takiego życia i połknęła dwuchlorek. Przed śmiercią opowiedziała mi swoją historię. Kiedy patrzyłam na fotografię tego zimnego chudzielca i myślałam, co mógł dla niej zrobić - zaczęłam go nienawidzić. W końcu była jego córką. To nie bajeczka. Wysyłałam nawet do niego listy podpisane jej imieniem, w których prosiłam o wsparcie. Nie prosiłam o wiele. Nigdy nie odpisał. Postanowiłam, że zapłaci za jej śmierć. I przyjechałam tutaj, żeby z niego coś wydusić. Przerwała, mocno zacisnęła palce i rozwarła je gwałtownie jakby chciała zadać sobie ból.**

**- Targo poznałam przez Cyrana, a przez Targo Shenvaira. Tajniak wiedział o zdjęciach. Pracował dla agencji we Frisco, kiedy Courtway zlecił pilnowanie Ady. Resztę już znasz.**

**- Brzmi to nieźle. Zastanawiam się tylko, dlaczego tak długo czekałaś z szantażem? Chcesz mi powiedzieć, że nie chciałaś jego pieniędzy?**

**- Nie. Pieniądze i tak bym wzięła. Ale nie ich chciałam najbardziej. Już ci mówiłam, że byłam**

dziwką.

- Niezbyt wiele wiesz o dziwkach, aniołku. -  
Uśmiechnął się. - Popelniłaś przestępstwo i  
złapano cię. Ale nawet gdybyś zarobiła parę  
groszy, nic właściwie by ci z tego nie przyszło.  
To byłyby brudne pieniądze. Wiem o tym  
dobrze. Dziewczyna nie odrywała od niego  
wzroku. Malvern dotknął twarzy i wzdrygnął  
się.

- Wiem o tym dobrze, bo moje pieniądze są takie  
same. Ojciec je zarobił, sprzedając za łapówki  
zezwolenia budowlane na kanalizację, kontrakty  
drogowe i koncesje na domy gry, a myślę, że nie  
gardził zyskami z prostytucji. Każdego dolara ze  
swojego majątku zarobił w parszywy sposób,  
tak jak to się robi w polityce. A kiedy już je  
zarobił i pozostało mu tylko sięść i gapić się na  
nie - umarł i wszystko mi zostawił. Ta góra  
pieniędzy mnie nie uszczęśliwiła. Miałem  
nadzieję, że tak będzie, ale nigdy nic z tego nie  
wyszło. Z jednego powodu: byłem jego  
szczeniakiem, jego krwią, wychowałem się w  
takim samym świecie. Jestem kimś gorszym od  
dziwki. Jestem facetem, który żyje za kradzioną  
forse i nawet jej sam nie ukradł. Przerwał,  
strząsnął popiół na podłogę i poprawił kapelusz.  
- Przemyśl to sobie i nie uciekaj zbyt daleko, bo  
mam kupę czasu i daleko nie uciekniesz. O wiele  
przyjemniej będzie uciec razem. Podeszedł do  
drzwi, zatrzymał się, rzucił okiem na smugę  
światła na dywanie, zerknął na dziewczynę i

**wyszedł z pokoju. Jean Adrian wstała z kanapy, przeszła do sypialni i rzuciła się na łóżko, tak jak stała, w płaszczu. Wbiła wzrok w sufit. Po długiej chwili uśmiechnęła się i zasnęła.**

→